Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 9,80 zł w tym 8% VAT • NR 20 (1860) • 15–21 maja 2026

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

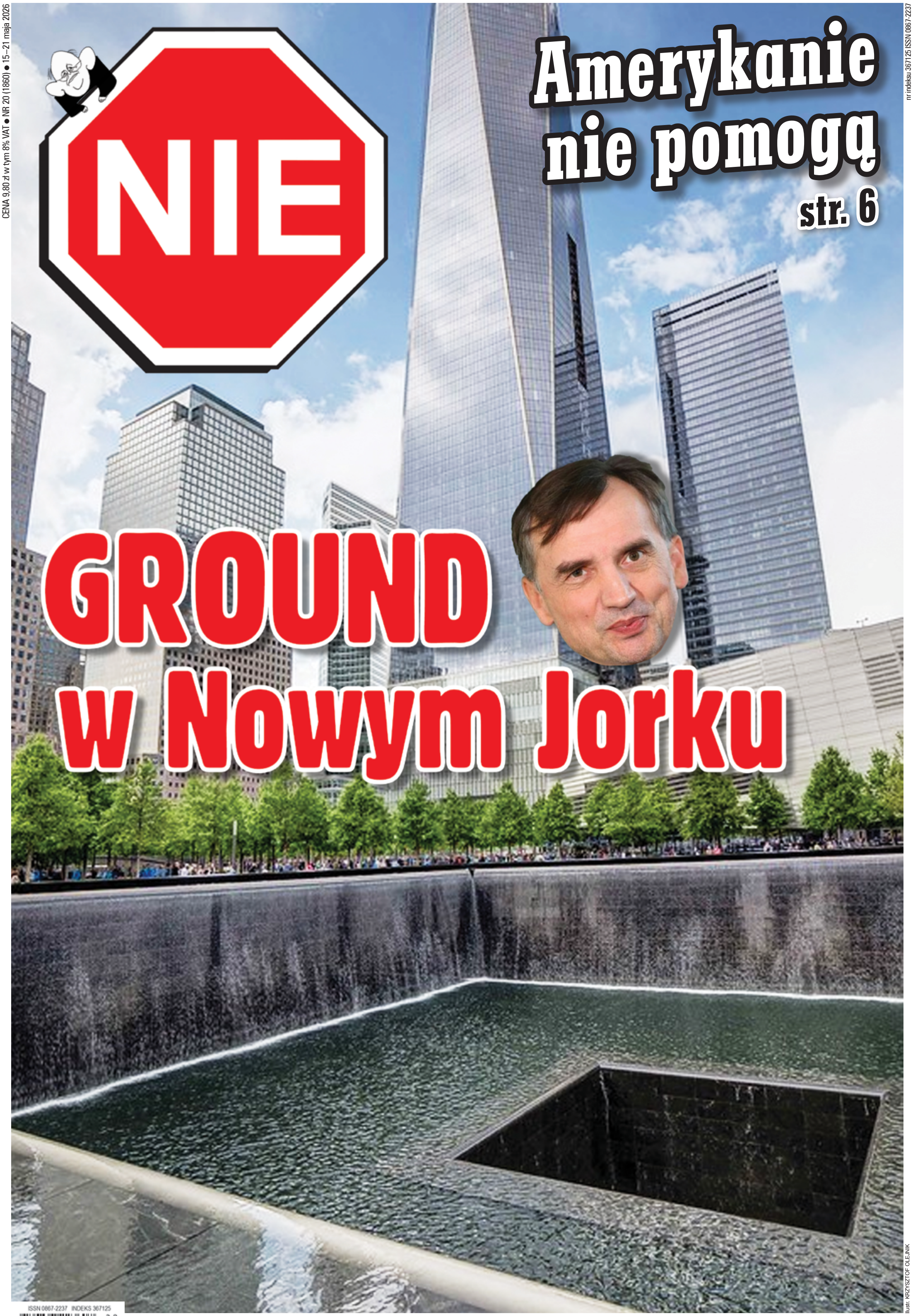

Amerykanie nie pomogą

str. 6

GROUND w Nowym Jorku

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125
9 770867 223607 20

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 1a9d38bf24

WOJNA DOMOWA

Największy przebojem tygodnia okazał się serial „Pan Zbyszek jedzie do Waszyngtonu". Ziobro dał dyla z Węgier do USA i teraz między władzą a opozycją toczy się erystyczna wojna o to, kogo to bardziej kompromituje. Umówmy się: wszystkich. Jeśli prokuratura naprawdę uważa, że Ziobro był hersztem zorganizowanej grupy przestępczej – powinna go lepiej pilnować; a jeśli Ziobro i jego socjusze naprawdę sądzą, że jest niewinny, to cóż: „niewinni nie mają się czego obawiać". A tak generalnie to w polskim kodeksie karnym przestępstwo urzędnicze – nadużycie uprawnień lub niedopełnienie obowiązków (art. 231) – jest zagrożone karą do trzech lat i przedawnia się po pięciu. Może z tym należałoby coś zrobić zamiast na siłę przyklepywać rządowym aferzystom paragrafy z repertuaru dedykowanemu (modne słowo) gangusom? Proponujemy ustawić vacatio legis zaostrzenia kar za przestępstwa urzędnicze na początek następnej kadencji – żeby opozycja sądziła, że to ona będzie wsadzać, a nie że będzie wsadzana.

À propos wsadzania: opozycja, po miesiącach krzyczenia, że rząd chce „przeregulować" (kolejne modne słowo) rynek kryptowalut – co przełożyło się na dwa weta prezydenta – dokonała lekkiej korekty kursu i teraz chce w ogóle zakazać ich „emisji, oferty publicznej i dopuszczania do obrotu". Co samo w sobie nie jest aż tak debilnym pomysłem, jak słyszymy. Kryptowaluty prowadzą do gwałtownego bogacenia się małej grupy i strat szerokich rzesz tzw. inwestorów – bez żadnej wartości dodanej, bez jakiejkolwiek realnej produktywności. Z tym że przy obecnym poziomie globalizacji zakaz kryptowalut może mieć jedynie wymiar ostrzegawczy: państwo informuje obywateli, że potępia ten instrument finansowy i nie bierze za niego odpowiedzialności, toteż wszelkie zabawy na kryptorynku mogą uprawiać w skrytości i na własne ryzyko. Zamiast tego napisany pod dyktando Kaczyńskiego i firmowany przez Błaszczaka projekt chce – co za niespodzianka – wsadzać. Na 10 lat. Czy ktoś mógłby tym facetom wytłumaczyć znaczenie pojęcia „populizm penalny"?

À propos populizmów: wobec „ustawy wygaszającej" dostęp do publicznej służby zdrowia dla nieubezpieczonych Ukraińców OKO.press zorganizowało zbiórkę, którą Tefałen postanowił zareklamować, wykorzystując do tego celu siostrę Małgorzatę Chmielewską – będącą dla mainstreamowych „postępowych" mediów tym, czym oswojony Żyd był dla dziedzica antysemity. Zbiórka ma finansować leczenie tych Ukraińców, który są zbyt chorzy albo zbyt starzy, żeby pracować, a przerwanie leczenia grozi im śmiercią lub kalectwem. Pozbawienie ich pomocy ze strony państwa polskiego to „absolutnie skandaliczna polityczna decyzja władz" – orzekła Chmielewska i oczywiście ma rację. Tylko co z dwoma milionami Polaków pozbawionych ubezpieczenia w związku z faktem, że złodziej zwany pracodawcą płaci im na umowie śmieciowej albo pod stołem? Rozwiązaniem nie jest filantropia, tylko wprowadzenie progresywnego, zależnego od wysokości dochodów – a nie od formy zatrudnienia – podatku zdrowotnego, z którego będzie finansowana publiczna opieka zdrowotna dla wszystkich obywateli RP oraz osób z prawem stałego pobytu i ochrony czasowej na terenie kraju. Lewica coś się nawet na ten temat zająknęła, ale mało kto słuchał.

Donald Tusk pojechał do Poznania na imprezę o nazwie Impact'26 i opowiedział różne zabawne rzeczy. Np. że Polska to „najlepsze miejsce na ziemi do życia", a także iż „te stare, odwieczne fundamenty naszej europejskiej, zachodniej cywilizacji: wolność, prawa człowieka, godność człowieka, przedsiębiorczość, konkurencja, wciąż są tak samo ważne, jak były wtedy, kiedy nasza cywilizacja się rodziła". Tak dla porządku: niezależnie od tego, czy narodziny cywilizacji europejskiej wiążemy z cywilizacją minojską, z Rzymem, czy z chrześcijaństwem – „przedsiębiorczość i konkurencja" nie należą do ich podwalin. Pan premier, historyk z wykształcenia, wyraźnie myli cywilizację europejską z kapitalizmem. Poza tym Tusk ubawił nas setnie, głosząc, jaką nieprawdą jest, że „tylko silna władza, która lekceważy zasady demokracji, praw człowieka i wolności, jest w stanie zmierzyć się z tym wyzwaniem, którym dzisiaj są wojna i migracja". A także że „trzeba twardo i bezwzględnie bronić wartości, które czynią z nas ludzi, w najgłębszym tego słowa znaczeniu". Państwo, które zawiesza prawo do azylu, daje mundurowym immunitet na niezgodne z prawem strzelanie do ludzi i wypycha uchodźców za granicę, żeby umierali z zimna i głodu w puszczańskich ostępach – może nie powinno pouczać innych o prawach człowieka? Tak tylko pytamy.

Adam Bodnar odpowiedział na pytanie, czy posłowie koalicji powinni zagłosować za kandydatami do KRS przedstawionymi przez kluby, skoro jest wśród nich bezwzględnie obrzydliwa postać, jaką jest Łukasz Piebak: „Ja sobie pomyślałem o czasach zaraz po okrągłym stole, kiedy niektórzy posłowie musieli głosować za generałem Jaruzelskim jako prezydentem Rzeczypospolitej i mieli tutaj wielki dylemat moralny, ale być może wiedzieli, że muszą to uczynić dla większego dobra". Dotychczas broniliśmy Adama Bodnara przed różnymi nagonkami, uważając go za przyzwoitego człowieka i uczciwego prawnika, który znalazł się w sytuacji bez dobrego wyjścia. Ale porównanie generała Jaruzelskiego z Piebiakem zwalnia nas z tego obowiązku. Sezon na Bodnara ogłaszamy za otwarty.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

Maj 2014 r.

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Świętego Achillesa

Wiele czytam o leczeniu z alkoholizmu, w przewidywaniu, że za jakiś czas trzeba będzie te metody zastosować wobec Daniszewskiej. Przekonawszy się jednak, że są one gówno warte, za przeproszeniem prof. Osiatyńskiego, wynalazłem sposób własny, już skutkujący. Kupuję flaszkę wódki, stawiam na stole, nalewam, piję, nalewam, piję, poczem zaczynam prosić i namawiać Daniszewską: ukochana, wypij ze mną. Ta zawsze ze wstrętem odmawia. Obrzydzenie wobec mojego towarzystwa przenosi się na alkohol. Jest to metoda ciągnięcia osła za ogon.

Dziwne zjawisko. Gdy piję bez przekąski, Azor dystansuje się ode mnie. Gdy zakąszam, staje u nóg, okazuje bliskość.

Świętej Rolandy

W konkursie „Gazety Wyborczej" na „Człowieka wolności" jury złożone po części z szefów wielkich firm wskazało do finału m.in. Jana Kulczyka. Kulczyk rzeczywiście wybił się na wolność poza nasz kraik, ale wcześniej był głównym budowniczym ustroju oligarchicznego. Od pewnego czasu Jan Kulczyk wykupuje całe strony w prasie, na których reklamuje siebie lub firmę nosząca jego nazwisko. Udział w finale czempionów wolności to zapewne skutek zniewolenia gazet.

Świętego Matiasa

LOT wycofał się z reklamowania lotów dla lesbijek i gejów w przyjazne im miejsca. Katonacjonaliści oburzyli się, że brudzony zostaje flagowy przewoźnik narodowy. Uważają, że sztandarem polskiej aktywności nadziemnej jest firma deficytowa, upadła, czyli bardzo polska. Oburzyło ich też aprobowanie oficjalnego istnienia homoseksualistów pod tęczową flagą. Powiadali również, że zboczeńców jest tylko 4 proc., więc nie wypełnią samolotów. Mniejsza o procenty. My, lesby i pedały, jesteśmy przeciętnie znacznie zamożniejsi niż hetero, bo lepiej wykształceni, inteligentniejsi, bardziej twórczy. I nie mamy na karku bachorów. Zresztą cała heca jest umowna, bo gdyby przy wejściu do samolotu lotowcy i lotówki sprawdzali orientację seksualną pasażerów, załadunek samolotu trwałby w nieskończoność.

Ilustr. OLEJNIK

Cd. św. Matiasa

Proponuję urządzić specjalne loty dla ateistów. Reklamować je tak: ludzie, którzy nie wierzą w życie pozagrobowe, potrzebują specjalnie bezpiecznych samolotów i najlepszych pilotów. Gwarantuję, że przeloty dla bezbożników wykupią katole pod przewodem klechów czarnych i fioletowych.

Świętego Denisa

Niektóre zmartwienia i postulaty „Gazety Polskiej Codziennie". 1) Córki Jaruzelskiego i Kwaśniewskiego łączy z córkami Himmlera i Goeringa to, że ojcowie nie mieli dla nich czasu. Dodam, że z Matką Teresą to, że wszystkie pięć miały lub mają cipy. 2) Rosja powinna być wykluczona z koncertów Eurowizji. Śpiew to, cytuję: „Jeden z elementów jej polityki imperialnej w sferze symbolicznej. (…) Rosja powinna być wykluczona z udziału w festiwalach międzynarodowych".

Świętego Honorata

Izraelczycy dużo przemawiali tej wiosny w byłym niemieckim obozie w polskim Oświęcimiu i ciągle złościli się na hitlerowskie krematoria. Słuchajcie, Żydzi! Naziści nie byli źli przez to, że palili trupy, lecz dlatego, iż je produkowali. Nie pozwolimy obrzydzić sobie polskiego przemysłu kremacji Polaków, którzy ciężką forsę płacą za spopielanie. Krematoria – nasza ostatnia łaźnia.

Wysoko urodzony Żyd, niestety już zmarły Krzysztof Teodor Toeplitz, wywodził się od praskiego rabina, twórcy Golema oraz Banco Comerciale Italiana. W latach 70., będąc naczelnym b.p. tygodnika „Szpilki", napisał słynny felieton „Mława atakuje". Przez symboliczną Mławę rozumiał autor chamidła i kołtunerię. 4 czerwca Wałęsa ochroni się przed Obamą właśnie w Mławie. Widocznie uwierzył za młodu Teoplitzowi i ciągnie go do swojaków.

Cd. św. Honorata

Oburzające jest aresztowanie znachora-cudotwórcy z Nowego Sącza Marka H. Przecież on tylko namawiał do oszczędnego karmienia sześciomiesięcznego dziecka, a nie do jego zabicia. Nie miał w tej śmierci interesu, przeciwnie – stracił swój interes. Istnieją tłumy misjonarzy weganizmu, czyli żarcia tylko trawy i marchewek. Prosperują tysiące lekarzy i innych przedsiębiorców propagujących odchudzanie. Nikt jeszcze nie był karany za zalecenie nieżarcia. Chodzi wolno nawet Magda Gessler, która odbiera apetyt milionom, mocząc fryzurę w zupie.

Świętego Pascala

Tytuł w „Gazecie Polskiej": „»GP« zaprasza na spotkanie z mistyczką". „Gościem specjalnym tego wydarzenia będzie syryjska mistyczka Myrna Nazzour. Znaki, jakich Bóg dokonuje za jej pośrednictwem, są dowodem, że cuda oraz uzdrowienia nie są jedynie wydarzeniami z Nowego Testamentu, lecz rzeczywistością Kościoła naszych czasów. (…) Setki osób dają świadectwo uzdrowienia czy nawrócenia po modlitwie ze stygmatyczką". Nazzour powoduje też oszczędności w kuchni, gdyż, jak zapewnia gazeta Sakiewicza, wydziela z siebie mnóstwo oliwy.

Świętego Eryka

Zmarł antykomunistyczny pisarz Marek Nowakowski. Jako pisarz umarł on już wiele lat temu. Rajcowała go przestępczość z przedmieść, ale ten folklor zmarł wcześniej niż jego piewca.

W latach 60., kiedy nie byliśmy jeszcze wrogami politycznymi, piliśmy w nocnym barze Bristolu w Warszawie. Dla popisu Marek zaczął mówić grypserą. Odpowiedział mu w tym języku elegancki dżentelmen pijący w drugim końcu baru. Opowiadał: – Przed wojną mój brat był królem Pelcowizny. Kiedy szedłem, każdy mi się kłaniał. Kiedy piłem, knajpiarz wolałby się zabić niż wziąć ode mnie choćby grosz. Gdy na ulicy leżał trup, wiedziałem, że braciszek dobrze się bawi. A dzisiaj na co mi przyszło? Dyrektor departamentu w Komisji Planowania… – załkał towarzysz dżentelmen.

❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Zbigniew Ziobro** powiedział, że w USA warto bywać. No i Alcatraz mają wkrótce otworzyć.
- **Marcin Najman** stwierdził, że boks to nie szachy, tu trzeba myśleć. W sumie racja, partie szachów rzadko kończą się krwotokiem wewnętrznym.
- **Papież** został sfotografowany w rzadkim modelu Nike. Świat się skończy, jak założy bluzę Nawrocky.
- **Kancelaria prezydenta** nie życzy sobie zachowań takich jak zatrzymanie Mentzena na lotnisku w Londynie. Najlepiej niech Mentzena na lotnisku wita książę Andrzej.
- **Zondacrypto** szkoliła prokuratorów i policję do wykrywania przestępstw. Fajnie, jak się uczyć, to od najlepszych.
- **W Katowicach** owce kameruńskie zadbają o koszenie miejskich trawników. Jest szansa, że owce z przyzwyczajenia będą wysrywać woreczki z koką.

MARTA M.

Rys. TOMASZ WIATER

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Wielki denuncjator

Wywiadowca pracujący za granicą – dyplomata, pracownik nauki czy też handlowiec – nawiązuje kontakty z miejscowymi osobistościami, które mogą stać się źródłami informacji. Osobistości te czasami podejrzewają, że pracownik ambasady to wywiadowca. Gdy jednak miejscowi oficerowie kontrwywiadu zapytują o cudzoziemskiego rozmówcę, zazwyczaj słyszą odpowiedź: „znam go jako dyplomatę". Kontrwywiadowcy nie mają dowodów. Chyba że czytają artykuły Sławomira Cenckiewicza ujawniającego polskich wywiadowców i ich działalność. Denuncjacje Cenckiewicza mogą być podstawą postawienia przed sądem. Służby kontrwywiadowcze są z reguły bardzo dociekliwe. Jeżeli mają dowody współpracy własnych obywateli z obcymi wywiadami, to mogą tych obywateli karać na różne sposoby. Może to być postawienie przed sądem i skazanie na więzienie. Może też być pobicie przez nieznanych sprawców lub śmierć w wypadku samochodowym.

W latach 2015–2016 w czasopiśmie „Do Rzeczy" ukazywały się teksty ujawniające polskich wywiadowców. W atmosferze antykomunistycznej nagonki teksty te denuncjowały osoby znane i mające za sobą wieloletnią służbę publiczną oraz znaczne osiągnięcia naukowe. W krajach szanujących swą państwowość tego rodzaju denuncjowanie uważane jest za szkodliwe dla racji stanu. W naszym kraju bywa ono podstawą do awansów i odznaczeń. Tolerowanie tego rodzaju denuncjatorstwa to drastyczny akt nielojalności państwa wobec ludzi, którzy podejmowali działalność wywiadowczą, która mogła być i bywała ryzykowna.

J.J.

Papieże mówią szczerze

Niektórzy papieże w przypływie szczerości mówili ciekawe rzeczy o sacro biznesie:

„Nieuctwo jest matką prawdziwej pobożności" – papież Grzegorz I.

„Patrzcie, co bajka o Jezusie Chrystusie dla nas zrobiła" – papież Leon X.

„Świat chce być oszukiwany, oszukujmy go więc!" – papież Juliusz III.

„Każda religia jest dobra, ale najgłupsza jest najlepsza" – papież Aleksander VI.

Czytelnik

eprasa.pl 1a9d38bf24

Rozmowa z IBETE FERNÁNDEZ HERNÁNDEZ, ambasador Republiki Kuby w Polsce

Jesteśmy gotowi na wszystko

Ilustr. PAWEŁ FERENC

– Zacznę od pytania dość banalnego, ale chyba jednak podstawowego – jak obecnie wygląda codzienne życie mieszkańców Kuby, będących pod bezprecedensowym i bezprawnym naciskiem Stanów Zjednoczonych?

– Dziękuję za możliwość rozmowy, tym bardziej że skala manipulacji informacjami o Kubie jest niezmienna, szczególnie w mediach społecznościowych. Sytuacja na Kubie w tym momencie jest bardzo skomplikowana. To jest sytuacja ewidentnie kryzysowa: mamy do czynienia z poważnymi problemami wewnętrznymi i zewnętrznym zagrożeniem; groźbami, które mają wpływ na życie na wyspie. Trzeba powiedzieć jasno: to efekt skumulowanej, wieloletniej blokady Kuby.

– Która, przypomnijmy, trwa od 1960 r.

– Tak. A w 2019 r., podczas poprzedniej kadencji Trumpa, blokada ta została jeszcze pogłębiona. Warto też pamiętać, że ostatnio Stany Zjednoczone dodały około 200 różnych ograniczeń i wpisały Kubę na listę państw terrorystycznych, co uniemożliwia nam np. wzięcie pożyczki od jakiegokolwiek państwa. Ważne jest pytanie, dlaczego sytuacja naszych obywateli jest taka trudna. Ta nowa blokada energetyczna spowodowała, że nie możemy zaspokoić podstawowych potrzeb społeczeństwa. Żaden kraj na świecie nie może funkcjonować bez energii. Mój kraj przez 20 godzin na dobę pozostaje bez prądu, nie ma wody, nie działa transport publiczny, a co najgorsze, bez energii nie może działać nasz system opieki zdrowotnej. Dość powiedzieć, że 96 tys. pacjentów czeka na operacje, 11 tys. z nich to dzieci, a 3 tys. osób nie otrzymują chemioterapii. Jeżeli prąd pojawia się np. nad ranem, to ludzie muszą, kosztem swojego odpoczynku, zająć się tym, co jest niezbędne, by oni sami i ich rodziny mogli funkcjonować w miarę normalnie. Tak właśnie wygląda codzienne życie Kubańczyków.

– Zachodnie media donoszą o protestach w niektórych miastach Kuby, o aktach przemocy wobec siedzib partii komunistycznej Czy to prawda? Jeżeli tak, to jaki był przebieg tych protestów i jak władze reagują na zrozumiałe niezadowolenie społeczeństwa?

– Przede wszystkim chciałabym powiedzieć, że rząd kubański stawił czoła sytuacji, w której żyjemy, i z wielkim nakładem sił stara się rozwiązać problemy, z którymi zderza się społeczeństwo – tak by państwo w dalszym ciągu funkcjonowało. Odpowiem pytaniem: jeżeli przez 20 godzin nie ma pan elektryczności, nie działa transport, by dojechać do pracy na czas, nie działa klimatyzacja, nie ma pan jak ugotować obiadu i przygotować posiłków dla własnych dzieci – to jak pan by zareagował? I jak zareagowałby każdy normalny człowiek? Każdy naród by zareagował złością. To logiczne. I dlatego są protesty. Nie wszyscy na Kubie popierają rewolucję – ale większość rewolucję popiera, przejawia naprawdę ogromną cierpliwość. To prawda, że na Kubie miały miejsce demonstracje, ludzie wychodzili na ulice – ale jeśli porównamy to ze skalą problemów, z którymi zmaga się państwo i społeczeństwo, to naprawdę skala protestów była niewielka. Rozumiemy ich przyczyny, władze próbują rozładować to napięcie. Ich przedstawiciele nie chowają się przed ludzkimi emocjami, rozmawiają z ludźmi, wspólnie próbują rozwiązać lub choćby zminimalizować skutki problemów. Natomiast tam, gdzie dochodzi do naruszenia porządku publicznego, władza musi reagować – są zatrzymania i wszczęte są sprawy karne przeciwko sprawcom.

– Donald Trump twierdzi – a media po nim powtarzają – że toczą się jakieś rozmowy między władzami Stanów Zjednoczonych i Kuby w sprawie pokojowego przejęcia władzy. Czy to prawda?

– Są pewne kanały porozumienia między władzami USA i Kuby. 13 marca takie rozmowy się odbyły, próbowaliśmy znaleźć punkty wspólne, rozmawialiśmy o dzielących nas różnicach. Jak powiedział nasz prezydent: próbujemy rozwiązać ten problem. Ostatnio odbyły się kolejne rozmowy, ale na razie po ich zakończeniu nie wyznaczono kolejnych terminów spotkań. Kuba zawsze podkreślała, że jest gotowa do rozmów ze wszystkimi, o ile uczestnicy rozmów będą szanować się wzajemnie.

– Czy pani ambasador – i w ogóle ktokolwiek na Kubie – wyobraża sobie zatem wariant wenezuelski? W takim sensie, że Stany Zjednoczone w jakikolwiek sposób usuną niewygodnego przywódcę i postawią na kogoś, kto się z USA porozumie?

– Naprawdę wierzy pan w to, że Kubańczycy zaakceptowaliby takie rozwiązanie? Że siły USA zatrzymałyby jednego prezydenta i powołały kogoś innego bez porozumienia z narodem Kuby? Kuba jest niepodobna do innych krajów, mamy swoje tradycje. Wszystkie kraje się od siebie różnią i mają różną historię, różne tradycje. Jedną z najważniejszych dla nas jest tradycja walki o niezależność, o jedność narodową. To są nasze skarby.

– Ale rozpatrywać trzeba różne scenariusze, łącznie z tymi najczarniejszymi. Gdyby Stany Zjednoczone zaatakowały militarnie Kubę, to jak zareagują władze, gdy staną przed odpowiedzią na pytanie: czy poddać się od razu, czy podjąć nierówną walkę, wiedząc, jak ogromna jest dysproporcja potencjałów między USA a Kubą?

– Owszem, USA mogą próbować najechać nasz kraj, ale sądzę, że to im się nie uda. Mogą wejść na Kubę, ale nie zdołają z niej wyjść. To prawda, że Stany są, jeśli chodzi o kwestie militarne, od nas potężniejsze – ale ludność kubańska jest również świadoma swojej odrębności i niezależności. Dysproporcja sił jest gigantyczna, jednak jesteśmy gotowi się bronić. Trzeba też pamiętać, że my

od 60 lat przygotowujemy się na odparcie amerykańskiej agresji. Od takiego czasu jesteśmy zagrożeni przez wrogie nam państwo. Zapewniam, że zajęcie Kuby nie będzie tak łatwe, jak im się wydaje. Każdy nasz obywatel wie, co ma robić w godzinie próby.

Ale podkreślę jeszcze raz: Kuba nigdy nie chciała i nie chce wojny. Jesteśmy państwem miłującym pokój. Opowiadamy się za dialogiem ze wszystkimi. Ale jeśli będziemy zagrożeni, to będziemy odpowiadać. Tak, jak zrobiliśmy w 1961 r. Będziemy walczyć wszyscy. Politycy kubańscy opuszczą swoje stanowiska tylko w jednym wypadku: gdy trzeba będzie bronić kraju. Bo jesteśmy zjednoczonym narodem.

– W tej chwili Kuba wydaje się osamotniona dyplomatycznie. Czy są jakieś kraje, na które władze Kuby liczą – nie w sensie militarnym, to oczywiste, ale raczej w sensie dyplomatycznym. Od kogo możecie oczekiwać wsparcia?

– Przez całą naszą historię czuliśmy wsparcie z całego świata, od różnych osobistości. Wciąż tę solidarność odczuwamy. Podczas głosowań w ONZ większość krajów głosowała za zniesieniem sankcji na nasz kraj. Ale odczuwamy solidarność ze strony wielu społeczeństw, niezależnie od stanowiska ich władz. To dla nas ważne. Odczuwamy też wsparcie rządów Chin, Wietnamu, Rosji, Meksyku, Brazylii, Kolumbii. Jesteśmy bardzo wdzięczni za wszystkie te gesty solidarności. Nasza dzisiejsza rozmowa jest tego dowodem. Dziękujemy Polsce i Polakom za wszystkie gesty dobrej woli pod naszym adresem.

Rozmawiał **MACIEJ WIŚNIOWSKI**

Patria o Muerte

Kuba nie klęka przed pomarańczowym maniakiem

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Odkąd Trump porwał prezydenta Wenezueli, światowe media zadają sobie pytanie, czy następnym celem USA na Karaibach będzie Kuba. Tymczasem zagrożenie ze strony „kraju wolnych i domu dzielnych” to dla Kubańczyków nic nowego. Stany Zjednoczone próbują na różne sposoby odzyskać kontrolę nad tą piękną karaibską wyspą od dnia triumfu rewolucji pod wodzą Fidela Castro.

6 kwietnia minęła 66. rocznica wprowadzenia embarga USA na Kubę. Przez te 66 lat naród kubański dawał światu jedno z najbardziej niezwykłych świadectw swojej godności, oporu i samostanowienia. Opór kubańskiego społeczeństwa ma charakter etyczny, kulturowy i głęboko ludzki.

Kuba, ze swoim unikatowym systemem wartości, edukacji, rozwoju, mogłaby przynieść światu naprawdę ogromne korzyści – wystarczy wspomnieć choćby jej osiągnięcia na polu medycyny. Kubańscy lekarze znani są nie tylko w Ameryce Łacińskiej, ale także np. w Kalabrii we Włoszech. Kuba prowadzi badania nad nowotworami, a ostatnio osiągnęła sukcesy w leczeniu choroby Alzheimera. W ramach tego badania klinicznego na Kubę przyjeżdżają pacjenci z USA – i lekarze amerykańscy potwierdzają, że rezultaty kubańskiej kuracji przewyższają jakiekolwiek inne.

Cyfrowi najemnicy

Donald Trump liczy, że Kuba stanie się kolejną ofiarą „kolorowej rewolucji”, która obali legalny rząd i przywróci wyspę do rangi karaibskiego burdelu, jakim była za czasów Fulgencia Batisty. Zamiast wspierać rozwój swego niezwykłego sąsiada, Ameryka morduje gospodarkę Kuby i niszczy jej reputację. Cyfrowi najemnicy działający za fundusze amerykańskich agencji, takich jak USAID czy NED, to osoby podające się za niezależnych, oddolnych aktywistów, które mają zadanie podważania wszystkich zdobyczy społecznych na Kubie i przedstawiania jej w jak najgorszym świetle.

Influencerzy lub youtuberzy rzekomo relacjonujący z Kuby prezentują się jako świadkowie kubańskiej rzeczywistości; często udają, że ryzykują swoje bezpieczeństwo, aby „powiedzieć prawdę”. Cyfrowe ślady wskazują jednak, że nadają oni głównie z USA, Meksyku i Hiszpanii.

Nie są to więc zwykli kubańscy obywatele, relacjonujący sytuację na wyspie – lecz oszuści kreujący wizerunek osoby prześladowanej politycznie czy dziennikarza znajdującego się pod obserwacją służb. Znane są przypadki takich agentów – np. amerykański youtuber Elliot czy australijska para Justin i Alina – którzy stosowali techniki manipulacji wizualnej, aby spotęgować obraz upadającego kraju.

Szacuje się, że w latach 2001–2021 rząd Stanów Zjednoczonych przeznaczył ponad 218 mln dol. na programy destabilizacji politycznej na Kubie; z czego ponad 25 mln na specjalne media i „swobodny przepływ informacji”. W samym 2024 r. agencja amerykańska USAID wydała 2,3 mln dol. na tzw. niezależne programy medialne na wyspie. Po objęciu urzędu przez Trumpa USAID została de facto zlikwidowana – ale sekretarz stanu Marco Rubio dopilnował, aby nie wpłynęło to na finansowanie antypaństwowej działalności w trzech krajach: na Kubie, w Nikaragui i Wenezueli.

Narodowy Fundusz na rzecz Demokracji (NED) przyznaje granty platformom, które promują „wolność słowa” i „śledzą groźby wobec dziennikarzy”. Jak to wygląda w praktyce, pokazuje przykład platformy „El Toque”, która manipulowała zmianami kursów walut w celu generowania inflacji w kraju. CubaNet z siedzibą w Miami otrzymała od USAID pół miliona dolarów na dotarcie do kubańskiej młodzieży. ADN Cuba, dysponująca funduszem ponad 3 mln dol. zbudowała sieć raperów i ulicznych artystów, których zadaniem jest rozpowszechnianie antyrządowego przekazu poprzez muzykę i kulturę miejską.

Oczywiście państwo opracowało system kontrinformacji, który polega przede wszystkim na publicznym demaskowaniu tych platform, ujawnianiu sposobu ich działania. Media takie jak „Granma” czy „Cubadebate” podają konkretne kwoty i nazwiska influencerów będących beneficjentami amerykańskich funduszy. Rząd Kuby rozpoczął też kampanię edukacyjną dla uświadomienia obywatelom technik manipulacji emocjonalnej i wykorzystywania fake newsów.

Wojna Całego Narodu

Ale ta mała wyspa nie zachowuje się biernie wobec agresywnej postawy potężnego sąsiada. Kuba ma wspaniałe Rewolucyjne Siły Zbrojne podzielone na różne struktury, a jej doktryna obronna nazwana jest Wojną Całego Narodu; każdy obywatel ma wyznaczoną misję, cel i zadanie do obrony. Koncepcja obrony terytorialnej, opartej na wojnie nieregularnej i asymetrycznej, oddaje motto Kubańczyków, które stanowi, że najlepszym sposobem na uniknięcie wojny i zachowanie pokoju jest przygotowanie się do obrony.

Jednocześnie rząd Kuby planuje szereg reform, które mają wykazać, że w socjalizmie można przeprowadzić znaczące zmiany gospodarcze, społeczne i technologiczne. Wzorcem dla Kuby są oczywiście Chiny i Wietnam. Niedawno w Dzienniku Urzędowym opublikowano prawo, które otwiera drogę do tworzenia spółek typu joint venture między podmiotami państwowymi a osobami prywatnymi.

„Cubadebate” donosi, że zaktualizowana w 2019 r. konstytucja uznaje możliwość łączenia tych dwóch form własności. Ma służyć stymulacji gospodarki, usprawnieniu produkcji i usług, i stworzeniu nowych źródeł zatrudnienia. Obecnie Kuba ma około 2 tys. przedsiębiorstw państwowych, 10 tys. niepaństwowych, spółdzielni rolniczych i pozarolniczych, a także firmy handlowe i spółki zależne.

Zmiany te mogłyby sugerować, że kraj zmierza w kierunku stopniowej prywatyzacji gospodarki państwowej – co jest naturalnie oczekiwaniem Stanów Zjednoczonych – ale Ministerstwo Gospodarki i Planowania Kuby podkreśla, że chodzi o tworzenie nowych form zarządzania gospodarką, a nie o prywatyzację. Kubańskie władze podkreślają, że porządek konstytucyjny i poszanowanie systemu politycznego to dwie kwestie, które nie podlegają negocjacjom ani dyskusji ze Stanami Zjednoczonymi.

Czy Kuba stanie się kolejnym celem Waszyngtonu?

Z jednej strony – owszem, administracja Trumpa ewidentnie zmierza do całkowitego podporządkowania sobie Ameryki Łacińskiej. Ale sukces tego planu zależy w dużym stopniu od tego, jak potoczy się dalej wojna USA i Izraela z Iranem.

I po drugie: Kuba w swojej walce o zachowanie niezależności nie jest osamotniona. Po jej stronie są Chiny, Rosja, Wietnam, Brazylia, Meksyk, Nikaragua, Kolumbia i wiele państw afrykańskich.

Niedawna zapowiedź Trumpa, że Kubę „przejmiemy prawie natychmiast” może zatem znaczyć tyle samo co jego obietnice, że „obniży ceny leków o 600 procent”.

ANDRZEJ ULMER

eprasa.pl 1a9d38bf24

Wiesław i Ziuk

Zaskakująca wyrozumiałość Gomułki wobec zamachu majowego

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Mija właśnie 100 lat od maja 1926 r., kiedy to Józef Piłsudski na czele wojska zbrojnie przejął władzę i przesądził losy Polski na całe pokolenie.

Gdy przed 20 laty przygotowywałem edycję pamiętników nieżyjącego już wówczas Władysława Gomułki, zaskoczony byłem jego nie tyle sympatią, co wyrozumiałością wobec tego zamachu i rządzącej w jego wyniku sanacji. Gomułka starał się wiernie odtwarzać przeszłość, więc ta wyrozumiałość po części wynikała z historii. KPP poparła zamach Piłsudskiego, podobnie jak cała polska lewica, choć później została za to w Moskwie potępiona. Za ów „błąd majowy" KPP się pokajała. A Gomułka zachował pobłażanie dla Piłsudskiego i jego ludzi do końca życia – pamiętniki pisał w latach 70.

W 1926 r. Gomułka miał 21 lat, był wykwalifikowanym ślusarzem, po odpowiednich egzaminach. Politycznie był radykałem, w środowisku uchodził za komunistę, choć przez kilka wcześniejszych lat działał w PPS. Wtedy właśnie z nią zerwał i wstąpił do – bliskiej KPP, ale legalnej – Niezależnej Partii Chłopskiej, która miała wpływy w Galicji i środkowej Polsce oraz kilkuosobowy klub w sejmie.

1 maja 1926 r. Gomułka wraz z kilkudziesięciu zwolennikami NPCh demonstrował na miejskim placu w Jaśle, kolportował z powodzeniem wydawnictwa NPCh, śpiewał rewolucyjne pieśni. Wpadł jednak w oczy policji: następnego dnia zrobiono mu rewizję w domu, szukano bibuły komunistycznej, ale nic nielegalnego nie znaleziono. Mimo to został aresztowany z oskarżenia o wywrotową agitację i osadzony – na razie – w liczącym kilka cel więzieniu przy jasielskim sądzie, gdzie czekał na odesłanie do Krosna. Siedział samotnie, jako jedyny więzień polityczny, i był z tego dumny.

Do Krosna go nie odesłano; za kilka dni w Warszawie wybuchł zamach Piłsudskiego popierany przez lewicę i sytuacja się zmieniła. W Jaśle trwała zorganizowana przez PPS ludowa manifestacja poparcia dla zamachu. W momencie uchwalania rezolucji grupa przyjaciół Gomułki wniosła o wpisanie do niej żądania uwolnienia jedynego w miasteczku więźnia politycznego. Przewodniczący wiecu, szef miejscowej PPS Jan Wójtowicz, na ten wpis się nie zgodził – ale oświadczył publicznie, że wobec starosty zdecydowanie wystąpi o wolność dla Gomułki. Słowa dotrzymał i jeszcze tego samego dnia sędzia śledczy uchylił areszt zapobiegawczy. Rozradowani przyjaciele aresztowanego, na czele z jego ojcem i Wójtowiczem, udali się pod więzienie powitać wychodzącego na wolność.

Po latach Gomułka zanotuje w pamiętniku, że jego wyzwoliciele do zamachu Piłsudskiego odnosili się z entuzjazmem: „Liczyli na to, że po objęciu władzy »Dziadek« wszystko zmieni na lepsze". Kilkuletnie rządy endecji i prawicy ludowców, tzw. chjenopiasta dały się we znaki wszystkim. Sam Gomułka był trochę mniej entuzjastyczny, ostrożniejszy od pepesowców, ale też wspomina: „Wydawało mi się się jednak, że pod rządami Piłsudskiego wszystko zmieni się na lepsze". Ostatecznie dzięki temu zamachowi odzyskał wolność.

Nie zamierzał tego bezprawia, jakim było jego aresztowanie, puścić płazem. Wszystko dokładnie opisał i wysłał do przewodniczącego frakcji poselskiej NPCH dr. Alfreda Fiderkiewicza z prośbą o ewentualną interwencję poselską. Taka interpelacja została zgłoszona – i chociaż nikt nie został ukarany, sprawa nabrała szerokiego rozgłosu.

W swoim pamiętniku Gomułka historię tę opatrzył gorzkim komentarzem porównawczym demokracji sanacyjnej z czasami Polski Ludowej. Zasługuje on – choć w pewnym skrócie – na przytoczenie: „W 25 lat później, nie bacząc na moją nieskazitelną przeszłość rewolucyjną, (…) nie bacząc też na to, że piastowałem wówczas mandat posła na Sejm Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej (…) zostałem aresztowany bez wiedzy i zgody Sejmu i w ciągu kilku lat przetrzymywany w kompletnej izolacji. (…) Pozbawienie mnie wolności było aktem brutalnego bezprawia, cynicznego podeptania konstytucji, zbrodniczej samowoli na skalę bezbrzeżną i mimo to w ówczesnym Sejmie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej nie znalazł się ani jeden poseł, który miałby odwagę postawić na jego forum choćby pytanie, za czyją zgodą i na jakiej podstawie pozbawiono mnie wolności, nie mówiąc już o tym, żeby zaprotestować przeciwko tak jaskrawemu pogwałceniu praworządności"…

Nadzieje, jakie lewica wiązała z Piłsudskim, rychło się rozwiały. Choć nie do końca. Piłsudski okazał się dyktatorem szczególnym. Można powiedzieć: niekompletnym. W każdym razie dużo rozsądniejszym od dzisiejszych nacjonalistycznych populistów.

Do demokracji parlamentarnej rozczarował się definitywnie po zamachu na Narutowicza. Endecję znienawidził, publicznie jej wymyślał od bandy i szajki. Na konstytucję pomstował, wykrzykiwał „konstytuta-prostytuta" – ale dopóki żył, wybieralności parlamentu nie uchylił. Wiele przemawia za tym, że zamachem majowym chciał uratować Polskę przed faszystowską dyktaturą endecji.

Podstawę trójpodziału władzy Piłsudski uszanował. Uciekał się do brutalnych, opresyjnych metod rządzenia – ale nie demolował w tym celu systemu wymiaru sprawiedliwości; realizował je, ignorując ten system, niejako obok niego.

Wsie ukraińskie pacyfikował przy pomocy wojska. Obóz koncentracyjny w Berezie Kartuskiej podporządkował ministrowi spraw wewnętrznych, a nie sprawiedliwości. Gdy chciał zaostrzyć kary w walce z terrorem OUN, wprowadzał w województwach kresowych sądy doraźne. Rzecz naganna, ale jednak rozsądniejsza niż demolowanie całego kodeksu karnego – z czym mamy w Polsce dzisiaj do czynienia.

W rezultacie Gomułka – choć po zamachu majowym uprawiał zakazaną działalność polityczną w KPP i pozostawał w nieustannym konflikcie z prawem – ocenia ówczesny system wymiaru sprawiedliwości umiarkowanie pozytywnie. Sądy nie wmawiały komunistom win niepopełnionych, nie łamały prawa, nie nadużywały aresztu tymczasowego. Warunki w więzieniach były znośne; przywileje więźniów politycznych stopniowo ograniczano, ale co do zasady szanowano. Doświadczył tego osobiście.

W 1932 r., w czasie rozpraszania zebrania aktywu komunistycznego w lesie pod Łodzią, Gomułka został przypadkowo postrzelony w udo przez policjanta. Rannego leczono najpierw w szpitalu więziennym, a później kilka miesięcy w miejskim. Niestety, leczono źle, kość się nie zrastała, groziło mu kalectwo. Mimo tej choroby sąd skazał Gomułkę na kilka lat więzienia. Jego żona wystosowała więc do prokuratora apelacyjnego sprawującego nadzór nad więzieniami prośbę o dwumiesięczny urlop od odbywania kary w celu leczenia się. Ku zaskoczeniu samego Gomułki urlopu tego udzielono i nawet zwolniono go od wpłacania kaucji, na którą nie było go stać. Prokurator, udzielając tej zgody, biadał: „Żeby chociaż nie uciekł!". Podejrzewał Gomułkę o takie zamiary, ale zwolnienia udzielił. Gomułka oczywiście uciekł do Związku Radzieckiego na ponad rok, gdzie mu nogę wyleczono.

Gomułka opisuje też inne doświadczenia z wymiarem sprawiedliwości. Już po powrocie z ZSRR (oczywiście przez zieloną granicę) został jako tzw. okręgowiec KPP na Śląsku aresztowany ponownie. W areszcie śledczym umieszczono go w jednoosobowej celi. Był z tego zadowolony, mógł spokojnie czytać, uczył się, a ponadto dostrzegał w tym rodzaj szacunku ze strony władz. Po kilku tygodniach naczelnik więzienia wezwał go na rozmowę i przepraszał, iż musi zmienić mu celę na kilkuosobową. Wyjaśniał, że aresztowano dwu niemieckich szpiegów i muszą siedzieć w osobnych pojedynkach, których więzienie ma tylko dwie. Dość niecodzienne to obyczaje – takie dyskusje naczelnika więzienia z osadzonym.

Podczas procesu w tychże Katowicach prokuratora oskarżała Gomułkę o „spiskowanie przeciw Polsce za kremlowskie pieniądze", gdyż przy rewizji znaleziono u niego kilkaset złotych. Groziło to znacznie surowszym wyrokiem. Obrońca Gomułki namówił Jana Stańczyka – szefa górniczego związku i byłego posła na sejm – do zeznania przed sądem, że znając Gomułkę, zamieszczał w czasopismach związkowych jego publikacje, płacąc dość sowicie. Sąd zeznania nie dopuścił, ale w zamian uznał zarzut o „kremlowskich pieniądzach" za nieudowodniony, zmniejszając odpowiednio wymiar kary.

I na koniec. Gomułka sądzi, że w czasie kampanii wrześniowej straż więzienna celowo i za wiedzą przełożonych opuszczała w porę więzienia, aby umożliwić więźniom samouwolnienie się i ucieczkę przed Niemcami. Sam Gomułka, uciekając z grupą towarzyszy z Sieradza, znalazł się Łodzi bez miejsca na nocleg i środków do życia. Nocleg z kolacją i śniadaniem uzyskali bez trudu w miejscowym więzieniu. Jak widać w krytycznej sytuacji zachowano się bardzo poprawnie.

Nasuwa się nieodparty i raczej smutny wniosek. Współcześni amatorzy rządów dyktatorskich reprezentują niestety dużo gorszą klasę polityczną, intelektualną i obyczajową niż poprzednicy z II RP, którym w święta państwowe składają kwiaty. Wyrządzili Polsce już znacznie większe szkody, choć zamachu wojskowego nie dokonali. Chęci im by nie zbrakło, ale na szczęście NATO chyba by nie zezwoliło.

ANDRZEJ WERBLAN

Od Oświęcimia do Galilei

Co znaczy „nigdy więcej", gdy tragedia się powtarza

W 81. rocznicę zwycięstwa nad nazizmem świat ponownie staje przed poważnym moralnym sprawdzianem. Tym razem jednak ofiary nie znajdują się w Europie, lecz w Palestynie.

Jestem Palestyńczykiem z Galilei. Moja rodzina została wypędzona ze swojej ziemi w 1948 r. podczas Nakby, a mój ojciec zginął później w starciu z izraelską armią okupacyjną. Dziś mieszkam w Polsce, zaledwie około 70 km od nazistowskiego obozu w Oświęcimiu.

Odwiedzałem to miejsce wiele razy. Widziałem komory gazowe, druty śmierci i cele, do których zamykano niewinnych ludzi przed ich zamordowaniem. Widziałem góry butów, okularów i dziecięcych walizek. Płakałem nad żydowskimi ofiarami nazizmu, ponieważ prawdziwy człowiek nie może pozostać obojętny wobec takiego piekła.

Dziś płaczę nad dziećmi Gazy, nad ofiarami w Dżeninie, Tulkarmie i Nur Szams, nad cywilami zabijanymi każdego dnia w Palestynie i Libanie.

I mówię z bólem: tragedia się nie skończyła – zmieniła jedynie swoje oblicze. Nazizm został pokonany w 1945 r., lecz idea wyższości rasowej i pogardy wobec innych ludzi nie umarła.

Kiedy jeden naród zaczyna uważać się za „naród wybrany", stojący ponad prawem i odpowiedzialnością, kiedy masakry usprawiedliwia się bezpieczeństwem, a całemu narodowi odbiera się człowieczeństwo – świat ponownie staje wobec moralnej katastrofy.

Projekt syjonistyczny od samego początku opierał się na wypędzeniu Palestyńczyków z ich ziemi i zastąpieniu ich osadnikami. To, co wydarzyło się w Deir Jasin, Tanturze czy Kafr Kasim, nie było odosobnionymi incydentami, lecz częścią systematycznej polityki zastraszania i wypędzania, której celem było opróżnienie Palestyny z jej rdzennych mieszkańców.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Dziś, po 78 latach, tragedia trwa w jeszcze bardziej krwawej i brutalnej formie. W Gazie na oczach całego świata prowadzona jest niszczycielska wojna. Tysiące dzieci i kobiet zginęły pod bombami. Szpitale zostały zniszczone, szkoły zrównane z ziemią, a meczety, piekarnie i obozy uchodźców stały się celami militarnymi. Dusząca blokada zamieniła życie ponad 2 mln ludzi w codzienną walkę o przetrwanie: brak żywności, prądu, lekarstw i wody.

Na Zachodnim Brzegu sytuacja wygląda równie dramatycznie. Uzbrojeni osadnicy, chronieni przez izraelską armię, atakują palestyńskie wsie, podpalają domy i gospodarstwa. Obozy w Dżeninie i Nur Szams są niszczone wojskowymi buldożerami, a rodziny po raz kolejny wypędzane – jakby Nakba nigdy się nie skończyła.

Palestyńscy więźniowie, w tym dzieci i chorzy, żyją w ciężkich warunkach. Areszty administracyjne, tortury, izolacja i egzekucje pozasądowe stały się codziennymi narzędziami systemu opartego na absolutnej sile i braku sprawiedliwości.

Izrael nie ograniczył się jedynie do blokady Gazy drogą lądową i powietrzną – jego działania sięgnęły także morza. Międzynarodowi aktywiści próbujący przełamać blokadę poprzez Flotyllę Sumud byli zatrzymywani i atakowani na wodach międzynarodowych tylko dlatego, że próbowali dostarczyć żywność i lekarstwa oblężonemu narodowi.

Najbardziej przerażające jest jednak to, że te zbrodnie nie dzieją się w izolacji. Wielkie państwa zachodnie dostarczają Izraelowi broń, wsparcie polityczne i ochronę dyplomatyczną, mimo że świat codziennie ogląda obrazy śmierci i zniszczenia. Wiele z tych państw 80 lat temu walczyło z nazizmem w imię wolności i praw człowieka.

Nie piszę tych słów z nienawiści, lecz z poczucia odpowiedzialności wobec pamięci.

Kto widział obóz w Oświęcimiu, nie może zaakceptować głodzenia dzieci, niszczenia miast i sprowadzania ludzi do numerów. Nikt nie ma monopolu na cierpienie.

Krew palestyńskiego dziecka nie jest mniej cenna niż krew dziecka żydowskiego, a cierpienie matek w Gazie nie jest mniej ludzkie niż cierpienie matek w Europie podczas II wojny światowej. Dlatego w rocznicę zwycięstwa nad nazizmem nie wystarczy powtarzać słów: „Nigdy więcej". Bo tragedia już się powtarza – każdego dnia, na oczach całego świata.

A ja, Palestyńczyk z Galilei, stojący pomiędzy pamięcią Oświęcimia a ruinami Gazy, mówię światu: widziałem dawną tragedię i widzę również nową. I świadczę, że milczenie świata jest najgroźniejszą rzeczą, która pozwala jej trwać.

OMAR FARIS

eprasa.pl 1a9d38bf24

Szafot dla lidera

Miałam już nie opowiadać bajek. Ale mogę pomarzyć.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Nie ufamy politykom? I bardzo dobrze: społeczeństwo ma jeszcze odruch samozachowawczy.

W badaniu CBOS z 2025 r. „dużym poważaniem" zawód polityka darzyło 17 proc. badanych. Jeszcze niżej uplasował się tylko influencer z 10 proc., a wyżej – makler giełdowy z 30 proc. Ranking pokazuje więc szopkę ze świętą trójcą kapitalizmu: tym, który wciska produkty; tym, który obraca cudzymi pieniędzmi; i tym, który obiecuje, że jak już dorwie się do państwa, to wszystkim nam urządzi życie – tylko najpierw musi wygrać z tamtymi.

Program? Panie, kto by to czytał...

Wybory sprzedaje się jako święto demokracji. Obowiązek uczestnictwa! I to uczestnictwa tak świętego, że wolno użyć szantażu – bylebyś tylko dotarł do urny. Więc strzelają z najcięższych dział: patriotyzmem, podstawową odpowiedzialnością, świadomym obywatelstwem. Wszystko jedno, czy cokolwiek kumasz – masz zagłosować.

W teorii masz wybierać między wizjami państwa. W praktyce zbyt często wybierasz między wrażeniami: między złością a strachem, między memem a kontrmemem, między youtubowym przekazem, który żyje z klikalności, a propagandowym kontem w mediach społecznościowych, które żywi się naszą emocją.

Sejm jako teatr kukiełek

Potem z tej kampanijnej piany wyłania się parlament. Parlament jak teatr z przedstawieniem „Narodowa awantura". Zamiast deliberacji mamy scenę. Zamiast ważenia racji – konferencję prasową w korytarzu. Zamiast parlamentarzysty – spikera komunikatu dnia. Na tej scenie nikt nie wchodzi na mównicę po to, żeby przekonać drugą stronę. Wie, że nie ma na to szans: jest widownia, własny elektorat i centrala partyjna, która sprawdza, czy akcent padł tam, gdzie trzeba.

Przyjrzyjmy się temu bez nabożnej mgiełki. Pojedynczy poseł czy senator, który w teorii ma mandat od obywateli, w praktyce bardzo często ma nad sobą małą prywatną konstytucję: lidera, zarząd, sekretarza. Władza lidera nie polega tylko na tym, że ładnie mówi w telewizji. Składa się z bardzo konkretnych narzędzi: miejsca na liście, pieniędzy na kampanię, dostępu do mediów, partyjnych funkcji, groźby zawieszenia, wykluczenia, przesunięcia na polityczną Syberię, a gdy partia dojdzie do władzy – także z całego zaplecza stanowisk, rad nadzorczych, gabinetów, asystentów, urzędów i tej miękkiej pajęczyny zależności.

Obowiązujące zasady zgłaszania list pokazują, jak ważna jest kontrola lidera nad wejściem do gry. Lider, podparty opinią komitetu, który sam układa albo na który ma decydujący wpływ, zgłasza jedną listę w okręgu, a kandydaci widnieją „w kolejności ustalonej przez komitet wyborczy". To nie jest drobiazg techniczny – to brama i masywny bramkarz broniący wstępu do klubu.

Lider jako właściciel stada

Odnoszący sukcesy w polskiej polityce lider stara się być przedstawiany jak ojciec: surowy, ale sprawiedliwy; groźny, ale skuteczny; wie, kiedy huknąć pięścią, kiedy pogłaskać po głowie. Pasterz stada. To skuteczny zabieg PR-owy, bo łączy się z polską mentalnością, z naszym przywiązaniem do silnej ręki, która niby bije, ale przecież „dla dobra rodziny".

A jednak przyznasz, że w zdrowej demokracji lider powinien być kimś, kto przekonuje, organizuje, negocjuje, rozumie konflikty społeczne i potrafi budować większości wokół programu.

Najbardziej groteskowe jest to, że system ten opakowuje się w język wolności. Wolny mandat! Wolny wybór! Wolna debata! Tyle wolności, że aż trzeba jej pilnować dyscypliną klubową, strachem przed listą i telefonem z centrali. To trochę jak z wolnym rynkiem w wydaniu neoliberalnym: wszyscy są wolni, tylko jedni mają kapitał, media, kancelarie prawne i dostęp do ministra, a drudzy mają wolność wzięcia drugiej zmiany.

Liderskie partie jak kartel

Takie partie zachowują się wobec nas jak kartel. Tyle że zamiast paliwa albo smartfonów sprzedają nam emocjonalną przynależność, a wraz z nią figurę wroga, lęk i bezalternatywność. Wróg w tym modelu jest elementem koniecznym. A w samej partii jest jak w mafii – obowiązuje omertà: kontrola ujawnianych treści, posłuszeństwo, ścisła reglamentacja dostępu do grupy zaufanych i do realnej władzy.

Dominacja jednej takiej partii w systemie politycznym państwa prowadzi do władzy autorytarnej, a czasem nawet totalitarnej. Konieczny w tym modelu wróg pojawia się na zewnątrz kontrolowanego przez nią państwa. Znamy takie systemy: autorytaryzm, nacjonalizm, agresja, faszyzm. Natomiast

istnienie dwóch silnych partii liderskich prowadzi do wrogości wewnętrznej i wyniszczającego państwo autorytarnego duopolu. Szczególnie jaskrawo widać to tam, gdzie dwa obozy polityczne nie konkurują już programami, lecz wzajemnym uzasadnianiem własnego istnienia.

O ironio, dzieje się tak nawet wtedy, kiedy w wielu sprawach robią to samo i ich polityka prawie się nie różni. Nadal jedni mówią: głosujcie na nas, bo tamci wrócą. Drudzy mówią: głosujcie na nas, bo ci są gorsi. I tak demokracja przestaje być sporem o kierunek, a zaczyna grzebać ludzkie nadzieje.

Wtedy ja i ty jesteśmy zmuszeni głosować jedynie na mniejsze zło. Problem w tym, że duopol potrafi nawet prawdziwe różnice przerobić na paliwo do maszyny lojalności napędzanej naszymi emocjami. Obywatel nie ma już myśleć: „czego chcę?", tylko: „kogo bardziej się boję?".

Zewsząd słyszymy: demokracja, demokratyczne państwa, demokracja liberalna i nieliberalna. „Masz wybór", więc „idź do wyborów", „korzystaj z demokracji". Największym oszustwem tej sytuacji jest słowo „wybór". Tam, gdzie nie ma wyboru, nie ma przecież demokracji.

Zapytam wprost: czy czujesz, że masz wybór? Ja czuję bezsilność. Nie mam wyboru i pytam, dlaczego polityka ma być wiecznym spektaklem liderów, skoro państwo jest wspólnym narzędziem do organizowania życia, a nie prywatną sceną dla kilku narcystycznych trup teatralnych.

Kawka ustrojowa, czyli herezja na spokojnie

I teraz, po tym wszystkim, można zrobić to, co każdy zwykły człowiek robi, gdy już ponarzekał, nakłuł balon, prychnął na hipokryzję i wymieszał ironię z goryczą: nalać kawy, uruchomić wyobraźnię i zapytać, co by było, gdybyśmy spróbowali inaczej.

Wyobraź sobie więc, że odbieramy liderom część formalnej władzy nad politycznym losem kandydatów. Nie całą władzę, bo polityka bez przywództwa byłaby czasem jak zebranie wspólnoty mieszkaniowej prowadzone przez siedem osób naraz: dużo emocji, mało decyzji, wszyscy mają rację, a dach dalej przecieka. Chodzi o coś prostszego i bardziej radykalnego: lider nie ma być właścicielem partii. Ma być jej reprezentantem. Ma wygrywać autorytetem, wiedzą, umiejętnością rozmowy, polityczną mądrością, wrażliwością społeczną, a nie kontrolą nad listą kandydatów jak nad listą gości na weselu kuzyna oligarchy.

Wyobraź zatem sobie prawo, w którym każda partia może zgłosić w okręgu taką samą liczbę kandydatów, na przykład 10. Wyobraź sobie, że każdy kandydat otrzymuje ustawowo taką samą kwotę na kampanię, finansowaną publicznie i rozliczaną po wyborach. Nie dlatego, że państwo ma sponsorować próżność politycznych celebrytów, ale dlatego, że bez równego dostępu do środków demokracja nie działa.

Wyobraź sobie wreszcie, że kolejność na liście przestaje być koronacją. Że „jedynka" nie jest namaszczonym następcą tronu, „dwójka" nie jest lennikiem, „siódemka" nie jest zesłaniem, a „ostatnie miejsce" nie jest politycznym czyśćcem dla tych, którzy w partii za często myśleli na głos. Wyobraź sobie, że politycy konkurują przez budowanie własnej rozpoznawalności, kompetencji i zaufania. To nie utopia. To jest możliwe.

STV, czyli głos, który nie umiera od razu

Wyobraź sobie Single Transferable Vote: system pojedynczego głosu przechodniego. Po polsku brzmi to trochę jak elektroniczny gadżet, ale w istocie jest całkiem elegancką próbą oddania wyborcy większej sprawczości, a kandydatowi większej niezależności.

W STV wyborca numeruje kandydatów według preferencji: pierwsza osoba, druga, trzecia, tyle, ile chce. Głos może przechodzić dalej, gdy ulubiony kandydat ma już wystarczające poparcie albo gdy nie ma szans. Wyborca może więc wybierać zarówno między partiami, jak i między kandydatami tej samej partii.

Nie będę udawała, że STV jest magiczną tabletką na demokrację. Nie. Każdy system można popsuć, obejść, wypaczyć, przerobić na folwark, jeśli wystarczająco długo pracują nad nim ludzie przekonani, że państwo jest łupem. Ale STV robi jedną rzecz cholernie ważną: osłabia władzę listy jako narzędzia tresury. Kandydat musi zabiegać nie tylko o błogosławieństwo wodza, lecz także o preferencje wyborców. Musi być kimś więcej niż nazwiskiem podklejonym do partyjnego logo.

Jego lojalność zaczyna się przesuwać: od lidera ku programowi, od centrali ku wyborcom, od posłuszeństwa ku odpowiedzialności. A to już jest różnica między człowiekiem z mandatem a człowiekiem z partyjnym identyfikatorem.

Najważniejszy skutek takiej reformy byłby jednak psychologiczny i instytucjonalny: uwolnienie parlamentarzystów z czołobitności wobec lidera. Zgoda: nie w wersji, że od jutra wszyscy są rozsądni, empatyczni i czytają ustawy przed głosowaniem. Chodzi o zmianę układu sił.

Lider musiałby liczyć się z partią i parlamentarzystami, a nie wyłącznie oni z nim. Kandydat, który ma własną bazę poparcia, własny dorobek, własną rozpoznawalność i oparcie w publicznie znanym programie, trudniej da się zastraszyć. Poseł, którego przyszłość zależy nie tylko od humoru prezesa, ale także od opinii członków partii i wyborców, może czasem powiedzieć „nie". Może nawet poprzeć projekt politycznej konkurencji, jeśli ten projekt jest zgodny z ogłoszonym programem jego własnej partii.

Program w gablocie publicznej

Do tego dodałabym obowiązek publikowania programów partii na specjalnej stronie Państwowej Komisji Wyborczej – w ujednoliconych kategoriach, w rozsądnej, określonej objętości i językiem możliwie zrozumiałym. Nie jako PDF do odhaczenia, nie jako śmietnik pięknych rzeczowników, tylko jako dokument porównywalny: mieszkalnictwo, praca, podatki, zdrowie, edukacja, klimat, świeckość państwa, prawa obywatelskie, samorząd, transport.

Każda partia w tych samych rubrykach. Konkret albo cisza.

Wiem, zaraz ktoś powie: wyborcy i tak tego nie przeczytają. Być może wielu nie przeczyta. Ale dziennikarze, organizacje społeczne, związki zawodowe, ruchy lokatorskie, ośrodki analityczne, nauczyciele, aktywiści, zwykli uparci obywatele – oni przeczytają, będą mogli porównać, zadawać pytania. A po wyborach powiedzieć: tu napisaliście jedno, robicie drugie.

Demokracja potrzebuje nie tylko emocji, ale też archiwum obietnic. Taki obowiązek programowy nie zlikwiduje kłamstwa, ale utrudni jego eleganckie prasowanie. Da społeczeństwu narzędzie, które można wykorzystać przeciwko politycznej amnezji.

Mniej wojny, więcej spraw

Czy taka zmiana osłabiłaby polaryzację? Nie zlikwidowałaby jej, bo polaryzacja ma źródła głębsze: klasowe, kulturowe, medialne, regionalne, religijne, historyczne. Ale mogłaby zmniejszyć temperaturę partyjnej wojny. Jeśli parlamentarzyści musieliby budować własną reputację, a partie musiałyby pilnować programowej wiarygodności, to opłacałoby się czasem współpracować tam, gdzie interes społeczny jest oczywisty.

Dziś partie zbyt często boją się porozumienia, bo porozumienie wygląda jak zdrada plemienia. Gdy polityka jest wojną tożsamościową, kompromis staje się kolaboracją, a rozsądek – miękkością. Ale jeśli ciężar przesunie się z liderowskiej mobilizacji na programową odpowiedzialność, pojawia się przestrzeń na współpracę w sprawach, które łączą bardziej, niż dzielą. Nie z miłości – z pragmatyzmu.

Wybory nie muszą być plebiscytem rozpoznawalności twarzy przemielonych przez marketing i prywatne maszyny klikalności. Polityka nie musi prowadzić kraju ku autorytaryzmowi. Nie twierdzę, że po takiej reformie nastąpi świt sprawiedliwości społecznej. Kapitalizm nadal będzie kapitalizmem, czyli elegancką metodą przenoszenia ryzyka w dół i zysków w górę. Ale demokracja mogłaby przestać być aż tak bezczelnym teatrem zależności. Mogłaby dać więcej powietrza tym, którzy dziś duszą się między lojalnością wobec lidera a lojalnością wobec własnego rozumu.

To oczywiście nie wystarczy, żeby naprawić demokrację. Ale od czegoś trzeba zacząć. Najlepiej od miejsca, w którym dziś – przy twojej spokojnej, rozmarzonej, refleksyjnej kawce – widać rzecz bardzo konkretną: z szyi posła wciąż zwisa smycz.

ANNA GRODZKA

MÓŻDŻEK TYGODNIA

– Beeeeczność! – zabeczał generał, który ze względu na nazwisko powinien był raczej zakukać.

Wszystkie lwy z kompanii przyjęły postawę zasadniczą.

W pewnej odległości od lwów stały ubrane po cywilnemu świnie. Kwiczały, chrumkały, podnosiły ryje do góry i węszyły, czekając na napełnienie koryta.

– Spoeeeecznij – zameczał baran, a lwy posłusznie wykonały rozkaz.

Świnie wciąż niecierpliwiły się przed karmieniem.

– Dość tego – mruknął do siebie Mentzen, którego irytował zwłaszcza baran nazwiskiem Kukuła, a świnie z Ministerstwa Obrony Narodowej budziły w nim bardziej obrzydzenie niż rozdrażnienie.

Mentzen podszedł do barana i popchnąwszy go, zajął miejsce dowódcy.

– Czołem żołnierze! – zawołał.

Lwy były zachwycone. Z entuzjazmem, jakiego dotąd świat nie widział, wrzasnęły: – Czołem, szlachetny mężu i wodzu nasz Mentzenie.

Słysząc to, świnie pierzchały w popłochu. Kwicząc wniebogłosy, zmierzały w kierunku pieprzu, który gdzieś tam rośnie. Kukuła też przepadł jak kamień w wodę.

Mentzen chciał dać lwom jakiś rozkaz, gdy nagle się obudził. Znajdował się w swoim barłogu w Nowej Nadziei. Był samcem hieny cętkowanej, z pyska leciała mu cuchnąca ślina, a przednią prawą łapą masturbował się tak, że mało tchu nie stracił.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

eprasa.pl 1a9d38bf24

Burdel w Trybunale Konstytucyjnym się rozkręca

Przedwczesna radość Donalda

Rys. MARCIN CHUDZIK

„Europejski Trybunał Praw Człowieka rozstrzygnął jednoznacznie sprawę wybranych przez sejm sędziów Trybunału Konstytucyjnego. Państwo ma obowiązek usunięcia wszelkich przeszkód uniemożliwiających im orzekanie. Dotarło?" – ucieszył się na X premier Donald Tusk. To gówno prawda. Wydano środek tymczasowy, sprawa nie jest rozstrzygnięta, bo to nie wyrok. Droga do niego jest wyboista i niekoniecznie usłana chwałą zwycięstwa.

Preludium

Trzymając się litery prawa, Europejski Trybunał Praw Człowieka wydał zabezpieczenie nakazujące Polsce dopuszczenie do orzekania czwórki sędziów TK wybranych przez sejm. Chodzi o Annę Korwin-Piotrowską, Krystiana Markiewicza, Marcina Dziurdę i Macieja Taborowskiego – czyli tych sędziów, którzy zostali wybrani przez sejm do TK 13 marca 2026 r., ale w odróżnieniu od Magdaleny Bentkowskiej i Dariusza Szostka nie dostali zaproszenia na ślubowanie do pałacu prezydenckiego. Olani sędziowie 9 kwietnia złożyli – wespół z dwojgiem uznanych przez Nawrockiego – ślubowanie w sejmie, w obecności notariusza. Następnie wszyscy przekazali pisemne noty ślubowań wobec głowy państwa w biurze podawczym prezydenckiej kancelarii. Jej przedstawiciele mówili wówczas, że sytuacja pominiętej przez prezydenta czwórki jest analizowana, gdyż w sejmie doszło do błędów. Prezes Trybunału Konstytucyjnego Bogdan Święczkowski zwyczajnie nie dopuścił ich do orzekania. Sędziowie złożyli do ETPCz wniosek o zastosowanie środka tymczasowego i otrzymali glejt nakazujący państwu powstrzymanie się od utrudniania im pracy do czasu rozstrzygnięcia sprawy.

Obóz prawicy zawył chórem, że na terenie Rzeczypospolitej najwyższym prawem jest konstytucja, a jej strażnikiem prezydent. Święczkowski stwierdził, że do kompetencji ETPCz nie należy orzekanie w zakresie ustroju konstytucyjnego ani wykonywanie zadań sądu pracy. To zabawne, bo nim oświadczenie Święczkowskiego ostygło, prawa strona już nakręcała narrację, że ruch ETPCz to nielegalna próba przejęcia TK przez rząd i zagraniczną instytucję. Znowu gówno prawda. Nie zmienia to jednak faktu, że ETPCz ma swoje procedury, które właśnie rozpoczęły bieg. Niestety, wbrew zapewnieniom premiera do uporządkowania bezhołowia w Trybunale Konstytucyjnym jeszcze daleko.

Prawo(nie)rządność

Zabezpieczenie, o którym mowa, to tzw. środek tymczasowy – *Rule 39*. Takie środki są stosowane w sytuacjach bezpośredniego ryzyka nieodwracalnej szkody (zwykle art. 2 – prawo do życia lub art. 3 – zakaz tortur i nieludzkiego traktowania). Są natychmiast wykonalne i wiążą państwo. Najwięcej zabezpieczeń w historii Polski, bo przeszło 120, ETPCz wydał w latach 2021–2022 i dotyczyły one traktowania gorzej niż bydło uchodźców na granicy polsko-białoruskiej. I co? No właśnie.

W 2025 r. ETPCz wydał kolejnych kilkanaście w podobnych sprawach. Mimo to nieszczęśnicy nadal są wypychani na Białoruś. Stempel ze Strasburga nie sprawi, że organ Rady Europy wyśle do kraju, który w dupie ma jego postanowienia, korpus komandosów gotowych obić buźki krnąbrnym politykom i zaprowadzić porządek.

Obecne zabezpieczenie jest w pewien sposób wyjątkowe, bo dotyczy bezpośrednio niezależności władzy sądowniczej i konstytucyjnej. Sprawa jest bliższa strukturalnym problemom praworządnościowym, w których ETPCz jest bardzo aktywny. Rząd ma na informację zwrotną czas do 20 maja 2026 r. – co pokazuje, że Strasburg traktuje sytuację priorytetowo. Kłopot polega na tym, że rząd to dwa wrogie obozy Tuska i Nawrockiego ze Święczkowskim na politycznej smyczy. Jeśli sędziowie nie zostaną dopuszczeni do pracy (a nie zostaną, bo to zmieni układ sił w TK na korzyść KO), mogą postarać się o wyrok. ETPCz dał im czas na złożenie pełnej skargi indywidualnej do 2 czerwca br. Kiedy stanie się faktem, europejski trybunał prześle jej pełną treść wraz z załącznikami do rządu i wyznaczy termin na ustosunkowanie się. Procedura trwa zwykle 8–12 tygodni z możliwością przedłużenia. W tym czasie agent rządu (z MSZ) będzie musiał wysmarować obszerną odpowiedź i wyjaśnić, dlaczego Nawrocki nie przyjął ślubowania sędziów, a Święczkowski nie wpuścił ich do roboty.

Procedura przed ETPCz dopuszcza odpowiedź rządu z propozycją ugody, a gdyby skarżący się na nią nie zgodzili, państwo może złożyć tzw. Deklarację Jednostronną (UD), w której rząd przyzna się do spieprzenia sprawy – czyli naruszenia Europejskiej Konwencji Praw Człowieka. Deklaracje Jednostronne zwykle zawierają kwotę tłustego zadośćuczynienia, które rząd oferuje skarżącym za naruszenie ich praw. W takim przypadku ETPCz nie wyda wyroku z uzasadnieniem, a decyzję o skreśleniu sprawy z listy spraw zawisłych. Decyzja nie ma rozważań prawnych, stwierdza tylko, że doszło do ugody bądź rząd się przyznał. Interes praw człowieka został zabezpieczony i święto. Decyzja o skreśleniu jest ostateczna, nie ma od niej odwołania. Krótko mówiąc, skarżący zamiast wyroku z uzasadnieniem, który mógłby mieć większą wagę polityczną lub precedensową, dostają kilkadziesiąt tysięcy euro jako buzi w czółko na otarcie łez. A przecież nie o to chodzi. To jednak nie koniec możliwości ETPCz.

Tryby prawa

Europejski Trybunał Praw Człowieka może stwierdzić, że jest to zbyt ważna i wpływająca na jego wizerunek jako trybunału sprawa, aby pozwolić ją zamknąć ugodą czy deklaracją jednostronną. Wówczas rząd nie będzie miał innej opcji niż kwestionowanie, że doszło do naruszenia Europejskiej Konwencji Praw Człowieka. Z punktu widzenia skarżących to nawet wygodna opcja.

Sprzyjający sędziom rząd Tuska mógłby się zwyczajnie podłożyć słabą obroną i uzyskać wyrok, na którym mu zależy. Tyle że trybunał w Strasburgu to nie sąd w Pierdziszewie, który byłby szczęśliwy ze słabego stanowiska procesowego jednej ze stron i ucieszył się na łatwy wyrok.

Strasburg musi uwzględniać przy wyrokowaniu swoje dotychczasowe standardy. Nie idzie na łatwiznę. Tu zaczynają się schody. Słaba obrona rządu nie gwarantuje korzystnego wyroku – może wręcz sprowokować ETPCz do ostrożniejszego orzeczenia, które nie da skarżącym politycznej amunicji, jakiej oczekują.

Trybunał w Strasburgu może stwierdzić, że kwestia zaprzysiężenia i nawiązania stosunku służbowego sędziego TK to w dużej mierze sprawa wewnętrznego ustroju państwa. Wyrok mógłby być – powiedzmy – płytki: naruszenie formalne. Co więcej, mógłby nie nakazać automatycznego dopuszczenia do orzekania, tylko zobowiązać państwo do działań naprawczych. Podkreślić, że to państwo decyduje o szczegółach procedury zaprzysiężenia i uniknąć głębokiego wchodzenia w kompetencje prezydenta i prezesa TK.

Dlaczego? Mocny wyrok ETPCz w sprawie dostępu do urzędu sędziego TK mógłby zostać użyty w drugą stronę – np. gdy w przyszłości ktoś zakwestionuje status innych sędziów TK. Strasburg nie lubi być instrumentalizowany w politycznej walce. Trybunał może też uznać sprawę za zbyt polityczną i użyć mechanizmu art. 37, czyli skreślenia, mimo oporu skarżących. ETPCz to instytucja, która pilnuje własnej spójności i legitymacji, a nie sojusznik jednej ze stron polskiego konfliktu. Jeśli wyrok będzie słaby lub mieszany (np. naruszenie, ale bez winy systemowej), dla skarżących sędziów i rządu Tuska będzie to wizerunkowa klęska. Prawicowe media i część TK będą trąbić wszem i wobec, że Tusk przerżnął w Strasburgu. Na marginesie – takie sprawy lubią się ciągnąć i wyrok może zapaść za długie miesiące.

Co do tego czasu? Klasycznie: przepychanki. Polska to nie Strasburg. Minister Żurek może grozić konsekwencjami karnymi za niewykonanie zabezpieczenie ETPCz, a podległa mu prokuratura ukręcić bat w sprawie nadużycia uprawnień przez Święczkowskiego. Sejm może uchwalić rezolucję wzywającą do natychmiastowego wykonania decyzji trybunału w Strasburgu, którą prawa strona będzie miała w pompie. Każda agresywna akcja będzie paliwem do narracji o politycznej zemście i łamania praworządności narzędziami Strasburga. Bal się dopiero zaczyna.

IDALIA DUBICKA

SŁOWO CZERWONE

Amerykanie nie pomogą

Wojny może i nie będzie, ale i tak mało kto przeżyje

Stało się tak, jak przewidywałem. Ziobro znalazł schronienie w USA. Żądanie jego ekstradycji pogorszy tylko i tak już nadwątlone stosunki między Polska i Stanami Zjednoczonymi. Wyrażając sympatię do Polski, prezydent USA miał na myśli Polskę konserwatywną i prawicową, a nie tę rządzącą, liberalną. Nawrockiego, a nie Tuska.

To oczywiście nic nie wnosi do rzekomych gwarancji bezpieczeństwa, jakie USA i NATO miałyby nam zapewnić, bo wschodnia flanka jest na końcu kolejki po Patrioty i inne pociski, ponieważ Trumpinio zużył prawie wszystko, co miał, na bezowocne bombardowanie Iranu. Bezowocne, bo jeśli wierzyć raportowi CIA, Iran zachował 75 proc. pocisków i zdolności do ich wystrzeliwania.

Pytanie, czy te pociski nie są nam niezbędne? Czy Rosjanie – którzy musieli załatwić sobie możliwość defilowania, jakże skromnego, z okazji dnia zwycięstwa nad faszyzmem u Trumpa, który wymusił rozejm na Zełenskim – są w stanie i mają ochotę na wojnę z NATO? Pytanie też, czy NATO z Ameryką w składzie wciąż istnieje.

Prawica, która nic nie rozumie, bardzo się cieszy, bo na złość Niemcom Trump przeniesie kilka tysięcy stacjonujących u nich żołnierzy do Polski. Poza tym, że będziemy ich mieli na utrzymaniu, niewiele to zmienia w naszym strategicznym położeniu, bo broń, którą zamówiliśmy – a która miała chronić nas przed nalotami ze wschodu – nie nadjedzie. Patrioty – najskuteczniejsze przeciw pociskom balistycznym – zamówiły 10 lat naprzód państwa Zatoki Perskiej. Przed nami jest też oczywiście Izrael – no i potrzeba odbudowania zapasów w samych Stanach.

Jak bardzo wreszcie możemy ufać sojusznikowi, który się odgraża, że się na nas Europejczykach odegra za to, że nie dołączyliśmy do jego bezsensownego ataku na Iran?

Ameryka Trumpa nie chce i nie może nam pomóc w razie rosyjskiej agresji. Pytanie tylko, czy przyjaciel Trumpa Putin będzie nas w ogóle atakował, skoro siły w tej wojnie się wyrównują i wciąż niewielka jest szansa na zdobycie Donbasu siłą? Była próba namówienia przez Trumpa Zełenskiego, żeby oddał Donbas bez walki. W tym celu Amerykanie zaprzestali jakiejkolwiek pomocy wojskowej Ukrainie. Za broń zza oceanu gotowa była płacić Europa. Tylko że teraz tej broni po prostu nie ma i nie będzie. Ukraińscy dowódcy meldują, że już prawie nie mają pocisków do osłony elektrowni, bo Rosjanie zimą tak mocno atakowali ten sektor, że obrońcy musieli większość zużyć, a nowych nie będzie.

Na szczęście Ukraina opanowała znakomicie wojnę asymetryczną, dronową i nawet swe wynalazki sprzedaje państwom Zatoki.

Trump nie lubi Unii Europejskiej i najchętniej by ją rozwalił. Dlatego wspiera w Europie te partie, które są antyunijne, zwykle skrajnie prawicowe. Postępuje podobnie jak Rosjanie. Za to nasza skrajna prawica demonstrowała ostatnio swą prorosyjskość, składając wieńce na grobach radzieckich żołnierzy.

Generał Kukuła, nasz naczelny wódz, oznajmił niedawno, że do dronów zagrażających ojczyźnie, do pocisków ze sklejki i dykty jest gotów strzelać Patriotami za miliony dolarów. Liberał Mentzen, który ceni pieniądz i nie jest aż takim patriotą, zwyzywał generała od głupców, a może i gorzej. Spór jest o tyle jałowy, że my się na te Patrioty po prostu nie doczekamy.

Nasza armia upodobała sobie HIMARS-y – wyrzutnie dalekiego zasięgu. Zamówiliśmy nawet więcej HIMARS-ów, niż ma amerykańska armia. Ale do HIMARS-ów też już nie ma pocisków.

Wojna z Rosją, z którą tak przyjaźni się nasz główny sojusznik USA, stała się obsesją całej naszej klasy politycznej.

Właśnie zaciągnęliśmy 43 mld euro kredytu, żeby kupować i produkować mnóstwo broni. Już dziś wydajemy na obronność więcej niż na zagłodzoną ochronę zdrowia. Kosiniak-Kamysz wieszczy, że będziemy mieli półmilionową armię.

A co do leczenia – to w placówkach służby zdrowia można już zobaczyć reklamy kredytów na leczenie. Ci, co nie zginą na wojnie z Rosją, umrą wcześniej na nieleczone, choć uleczalne choroby. Jak w Trzecim Świecie.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Ziobro nie uciekł do USA. Pojechał tam na wydanym przez Węgry paszporcie uchodźcy politycznego i od razu dostał wizę. Nie uciekał, bo nie był ścigany żadnym europejskim listem gończym. A sędzia, który nie chciał wydać europejskiego nakazu aresztowania, zwierzył się, że dzwoniło do niego dwóch prokuratorów, żeby się spotkać i naradzić w sprawie tego nakazu. Odmówił i stracił posadę. W Stanach republikanie studiują brak praworządności w Polsce i prześladowania opozycji. I trudno się dziwić, skoro prokuratorzy chcą się naradzać z sędzią, żeby – jak się wyrazili – wszystko wyszło dobrze.

PIOTR IKONOWICZ

eprasa.pl 1a9d38bf24

Polska polityka pędzi na jałowym biegu

Prezydent radziecki

Ludzie, ludzie, wy tu śpicie, a w prezydenckim Dużym Pałacu radzą rady. Ledwo skończy Rada Rolnictwa i Obszarów Wiejskich, to już zaczyna obradować Rada Nowych Mediów. Kiedy ta naradzi się wystarczająco, w blokach startowych tkwi Rada ds. Osób z Niepełnosprawnościami. Nie ma mowy o jej guzdraniu się, bo za plecami czuje już oddech Rady ds. Polonii i Polaków za Granicą popędzanej przez Radę Klimatu i Środowiska.

Sorry, ludzie radzieccy, taki mamy teraz w Polsce klimat.

Kraj rad

Rok nie minął w sprawowaniu prezydentury przez Karola Nawrockiego, a jego siedziba w wielki pałac rad się zamienia.

Nie ma ostatnio tygodnia, aby prezydent Nawrocki jakiejś nowej rady sobie nie powołał.

Ma już Radę Biznesu, ma Radę Bezpieczeństwa i Obronności, gdzie uwił sobie gniazdko właśnie wydymany z Biura Bezpieczeństwa Narodowego szpiegołapacz Sławomir Cenckiewicz, rozrasta się Rada Młodzieży wspierana przez Adama Andruszkiewicza – kancelistę prezydenta, niedawnego szefa Młodzieży Wszechpolskiej.

Rady mnożą się, niebawem może być ich i 20.

Radzi w nich ponad 600 osób. A może już więcej, bo prezydent Nawrocki nie powiedział jeszcze ostatniego słowa w tym temacie.

Jego poprzednik, zapomniany już Andrzej Duda, kończąc swą drugą kadencję, miał tylko 12 Rad i prawie 250 doradców radzieckich. Już sama liczba rad prezydenckich wskazuje, że mistrz ringu Karol Nawrocki to cięższej wagi prezydent niż ślizgający się narciarz Duda.

Rad swoich może mieć prezydent Nawrocki, ile tylko zechce, bo żadna z konstytucji – ani ta obowiązująca, ani ta jeszcze nienapisana – nie limituje ich. Żywot rad prezydenckich regulują bowiem polityczne zwyczaje, statut prezydenckiej kancelarii i prezydenckie ostateczne decyzje.

Powołani do prezydenckich rad radzą tam formalnie bez pobierania za to wynagrodzenia. Czas pokaże, czy i komu prezydent przyznał diety pokrywające koszty przybycia na obrady. Niewliczane do indywidualnego dochodu polskiego obywatela radzieckiego.

Formalnie takie rady to jedynie miejsce prezentacji i wysłuchiwania „opinii różnych środowisk". Ale rady prezydenta Nawrockiego reprezentują zwykle jedynie „różne środowiska" prawicowe, bliskie prezydentowi i często osoby jemu znajome.

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Walka rad

Powoływane przez prezydenta rady mają wspierać go w walce z rządem premiera Tuska i wrogą mu koalicją parlamentarną. Będą one prezydenckim zapleczem eksperckim przygotowującym mu projekty ustaw i pomysły na referenda, którymi zasypywać będzie sejm i senat.

Oczywiście prezydent nie oczekuje, że ten parlament będzie je uchwalał. Wystarczy, że będą one medialnymi dowodami jego troski o los polskich obywateli. Argumentem, że prezydent Nawrocki nie tylko wetuje, blokuje działania rządu, ale także stale stara się ulżyć doli ludu polskiego.

Tworząc system podejmujących ważne aktualnie tematy rad, prezydent Nawrocki tworzy nowe polityczne zwyczaje. Anektuje obszary nieopisane przez obecną konstytucję, prawo niższego rzędu i dotychczasową praktykę polityczną. W ten sposób oswaja polskich obywateli z lansowanym przez siebie systemem prezydenckim.

A jeśli prezydent Nawrocki zdecyduje się podczas najbliższych wyborów parlamentarnych patronować nowemu, alternatywnemu wobec prezesa Kaczyńskiego ugrupowaniu, to ten system radziecki przyda mu się w kampanii wyborczej. Pomoże stworzyć program atrakcyjny dla całej polskiej prawicy, a prezydenccy radzieccy zasilą jego listy.

Konstytucja też już nowa

Świetnym przykładem takiego obradowania dla obradowania jest powołana właśnie prezydencka Rada Nowej Konstytucji.

Skład nowej rady prezydent powołał zgodnie z przyjętymi starymi zasadami: zaprosił grono bliskich mu prawicowców. Ale dla dodania jej medialnie pikantnego smaku, też kilkoro znanych medialnie osób. Jak choćby byłą sędzię i chwilową minister w rządzie „postkomunisty" Leszka Millera Barbarę Piwnik.

Jednak miano najbardziej oryginalnego członka RNK zyskał już profesjonalny konstytucjonalista profesor Ryszard Piotrowski. Znany zapewne kancelistom prezydenta Nawrockiego jedynie z krytycznych opinii wobec niektórych działań rządu Tuska i wspierającej go koalicji.

Ciekawe, czy ideowy „antykomunista" Nawrocki wie, że jego konstytucyjny doradca profesor Piotrowski był członkiem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej? Aktywnym, ideowym i oczywiście krytycznym też.

Profesor Ryszard Piotrowski to żywa legenda Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Uczył nas tam za czasów Polski Ludowej „nauk o państwie i prawie". Zajęcia te wieńczył przygotowany przez niego słynny test. Wymagający od zdających nie tylko precyzyjnej wiedzy, ale też żywej inteligencji i twórczego myślenia. Każdy, kto zdał w końcu u Piotrowskiego, miał pewność, że potem wszystkie inne egzaminy zda na pewno.

Ech, to jego niezapomniane pytanie o „demokrację leśną"…

Ciekawe, czy prezydent Nawrocki, jego kanceliści i inni członkowie tej nowej rady, zwłaszcza pan poseł Paweł Kukiz, zdaliby egzamin u profesora Piotrowskiego? Choćby za trzecim razem.

Dlatego nie zdziwiłem się, że to profesor Ryszard Piotrowski zaraz po powołaniu go do Rady Nowej Konstytucji publicznie zadeklarował, że nowa konstytucja nie jest w Polsce potrzebna. Wystarczy, by polska klasa polityczna przestrzegała tej obowiązującej. Profesor Piotrowski zawsze mówił to, co myślał. Na uczelni, w PZPR i w prezydenckiej Radzie Nowej Konstytucji też.

Albo i nie

Zapewne nowej, poprawnie napisanej konstytucji z tej rady nie będzie.

Nie tylko dlatego, że pisać ją będą tacy parlamentarni nieudacznicy jak pan poseł Paweł Kukiz.

Konstytucja, aby powstała i potem była stosowana, musi być poprzedzona wcześniejszą umową politycznych elit i powszechną zgodą obywateli.

Nie może być pisana przeciwko większości rządzącej albo elitom ważnych partii opozycyjnych.

Obowiązująca obecnie konstytucja została uchwalona za rządów SLD–PSL. Ale przy znaczącym twórczym udziale liderów ówczesnej Unii Wolności i innych partii opozycyjnych. Wtedy istniało ponadpartyjne porozumienie, że przyszła Polska ma mieć system demokracji parlamentarno-gabinetowej. Ma dążyć do NATO i Unii Europejskiej.

Dziś warto o niej dyskutować. Jak lepiej uregulować relacje Polska–Unia Europejska. Jak zapobiegać paraliżowi władz podczas konfliktów między dwoma pałacami.

Skoro jednak prezydentowi Nawrockiemu zależy przede wszystkim, aby budować swą siłę na prawicy i decydować o medialnej „narracji politycznej", to nie oczekujmy, że z tej rady będziemy mieli solidny projekt nowej konstytucji.

Zwłaszcza że polskie elity polityczne popadły w jałowość. Każdy robi swoje w swojej bańce medialnej. Prezydent przekonuje i jednoczy zdeklarowanych już wrogów obecnego rządu.

Rząd jednoczy swych zdeklarowanych zwolenników.

Opozycyjny PiS jednoczy się przez podziały, podobnie jak zwalczające się Konfederacje.

Nowa Lewica cieszy się z poparcia gwarantującego jej przekroczenie progu wyborczego.

Partia Razem skutecznie realizuje politykę osobności.

PSL, jak telewizyjny rolnik, szuka nowego przedwyborczego mariażu.

Nuda, nuda, jak by rzekł klasyk, inżynier Mamoń.

PIOTR GADZINOWSKI

Ministerstwo głupich kroków

Diagnoza medyczna resortu zdrowia

Kiedy ministra zdrowia Jolanta Sobierańska-Grenda gościła w programie „Jeden na jeden" w TVN24, na pytanie prowadzącej „Kiedy w końcu pacjentom w Polsce będzie lepiej?", odpowiedziała: „No ja myślę, że już jest lepiej".

Nie istnieje coś takiego

W odpowiedzi dziennikarka przeczytała SMS-a, którego dostają pacjenci na Pomorzu: „Uprzejmie informujemy, że zaplanowane badanie kolonoskopii na 21 maja 2026 zostanie przeniesione na 4 marca 2027 w związku z ograniczeniami wprowadzenia limitów przez NFZ".

Sobierańska-Grenda: „Pani redaktor, ja mam sygnały z placówek, w których przede wszystkim reorganizacja następuje udzielanych świadczeń w kierunku profilaktyki". I jeszcze: „Jeżeli mówimy właśnie o kolonoskopii i gastroskopii, przypominam, że płacimy 100 procent za profilaktykę w tych badaniach. W związku z tym nie ma żadnego uzasadnienia, żeby te badania przesuwać"…

Ministra albo z premedytacją kłamie, albo nie ma pojęcia o resorcie, którym kieruje: oba zabiegi nie są refundowane jako badania profilaktyczne przez NFZ.

Rzecznik prasowy Naczelnej Izby Lekarskiej Jakub Kosikowski na platformie X napisał wprost: „Nie istnieje coś takiego w Polsce jak profilaktyczna gastroskopia, po prostu nie ma takiego badania".

Piotr Kalinowski z zespołu prasowego NFZ: „Kolonoskopia jest badaniem wykonywanym w ramach programu badań przesiewowych raka jelita grubego, za który NFZ płaci. Na pozostałe badania, zgodnie z wiedzą medyczną i doświadczeniem, kieruje lekarz".

Tłumacząc to na język ludzki: na gastroskopię można pójść tylko ze skierowaniem od lekarza i grzecznie ustawić się w kolejce.

Siła kobiecego wsparcia

W teatrze zwanym sejmowym wotum nieufności wobec szefowej resortu zdrowia koalicyjni posłowie bronili ministry niczym średniowieczni rycerze cnoty dziewic. Jak trafnie zauważyła Justyna Watoła na łamach „GW": „Przed posłami stanęła wzorowa uczennica, która od 20 lat pracuje w zdrowiu i zawsze miała świadectwo z paskiem. – Widziałam cierpiącego pacjenta! – wygarnęła posłom w twarz".

Rzeczniczka ministry napisała na Facebooku: „Polityka sama w sobie nie jest dla mnie. Ale jeśli są w niej ludzie, którzy naprawdę chcą coś zmieniać, to ja zawsze będę stała obok nich". Obok fotografia, na której jest z Sobierańską-Grendą i jej współpracownicami. Dodała z dumą: „Na tych zdjęciach są same kobiety. I jest w tym coś symbolicznego. Siła kobiecego wsparcia, solidarności i działania jest naprawdę nie do przecenienia".

Niestety, „siły kobiecego działania" doświadczają na własnej skórze pacjenci. Dotychczas na gastroskopię, kolonoskopię, rezonans i tomografię limitów nie było, a NFZ płacił 100 proc. stawki. Teraz 100 proc. płaci tylko w ramach kontraktu; za tzw. nadwykonania placówki dostaną połowę (tomografia i rezonans) lub 60 proc. (gastroskopia i kolonoskopia) wyceny i w dodatku nie jak dotychczas, co kwartał, tylko raz, w przyszłym roku.

Kobiety z resortu zdrowia żyją w alternatywnej rzeczywistości, w której tnie się wydatki na profilaktykę, a ludziom jest od tego lepiej. Gwoli ścisłości, niektórym ludziom jest od tego naprawdę lepiej, a mianowicie prywatnemu biznesowi medycznemu.

Tuczenie prywaciarzy

PayU i korporacja Diagnostyka odpowiedziały na potrzeby rynku stworzone przez cięcia, oferując raty zero procent na diagnostykę obrazową – tomografię komputerową i rezonans magnetyczny. Jak czytamy w reklamującej ten produkt informacji: „Cały proces odbywa się w pełni cyfrowo", a „decyzja kredytowa podejmowana jest w ciągu kilku minut".

Jako osoba pełna empatii i troski o drugiego człowieka zastanawiam się, czy resort zdrowia czasem nie zapadł na zbiorowe zaburzenia psychotyczne. To – podaję za artykułem naukowym Aleksandry Niemczyk-Zając – „stany chorobowe, w których występują urojenia, omamy, zaburzenia świadomości, duże zaburzenia emocji i nastroju łączące się z zaburzeniami myślenia i aktywności złożonej"…

Trudno mi nie myśleć o zaburzeniu świadomości i emocji, gdy

wiceminister Katarzyna Kacperczyk chwali się w internecie, że w Bacikach Średnich na Podlasiu przeżyła chwile, „których nie da się zapisać w tabelach". Dała mianowicie dzieciom misie i „ku zdziwieniu wszystkich, dzieci same spontanicznie nadały im imiona Kasia i Kacperek!

Takie chwile pozostają na zawsze i nie tylko w MZ będą się kojarzyć z KPO"…

Wszechogarniająca koncepcja całkowitego szczęścia

Tusk wciąż podkreśla, jaki to z niego wielki Europejczyk. Co ciekawe, słowo „Europa" wywodzi się z języków semickich, a oznacza ni mniej, ni więcej, tylko mrok. Wedle szwedzkiego dziennikarza Svena Lindqvista jest jedno zdanie, które jest kwintesencją myśli europejskiej: zdanie zapisane przez Kurtza, głównego bohatera „Jądra ciemności" Josepha Conrada, który raport o niesieniu cywilizacji wśród dzikich w Afryce kończy słowami: „Exterminate all the brutes" – „Wytępić całe to bydło".

Polska ma być krajem ludzi zadowolonych, bogatych, zdrowych, pięknych i mądrych. Jeśli kogoś nie stać na badania i lekarzy, to znaczy, że pogarsza on – czy ona – jakość tkanki narodowej. Lepiej wszak, żeby biedaków i chorych nie było. Psują oni statystyki i obciążają budżet, a przecież można by za to kupić jeszcze więcej wspaniałych rakiet, czołgów czy dronów. Na nich nie warto oszczędzać!

Klasyczny XIX-wieczny liberał Herbert Spencer pisał w 1850 r.: „Siły realizujące wszechogarniającą koncepcję całkowitego szczęścia nie biorą pod uwagę cierpienia, jakie niesie ze sobą podporządkowanie, i usuwają (exterminate) te sfery życia, które stoją na drodze do sukcesu. Czy to będzie ludzka istota, czy też zwierzę (brute) – przeszkoda musi być usunięta".

Może zatem się mylę. Resort zdrowia nie jest opanowany przez odklejone od rzeczywistości pańcie – realizujące politykę swoich panów, niechcących osobiście babrać się w niepopularnych decyzjach – lecz przez cyniczne osoby, spełniające marzenie Spencera: przetrwanie najsilniejszych.

KAT

eprasa.pl 1a9d38bf24

Duch Mosbacher

Jak Cerkiew wygrała bitwę z CIA

Trochę zapomniana już dziś Georgette Mosbacher postanowiła osiem lat temu wejść tam, dokąd nawet anioły wchodzą na palcach. Do zakrystii. A konkretnie do tej prawosławnej, gdzie kadzidło miesza się z polityką znacznie częściej, niż chcieliby wierni.

Ambasadorka USA w Polsce, przyjaciółka Donalda Trumpa, najpierw zasłynęła z obrony amerykańskich interesów medialnych (vide: TVN), a potem, jak się okazało, zainteresowała się zbawieniem dusz na Ukrainie za pośrednictwem mniejszościowego wyznania w kraju nad Wisłą. I to nie byle jakich dusz, tylko takich uwikłanych w jeden z najbardziej skomplikowanych sporów religijno-politycznych ostatnich dekad.

Były prezydent Ukrainy Petro Poroszenko, jeszcze zanim historia przyspieszyła w 2022 r., postanowił zbudować państwo według hasła „Bóg, honor, ojczyzna". Brzmi znajomo? Owszem, tylko że w przeciwieństwie do Polski „Bóg" na Ukrainie to pole minowe między Moskwą a Kijowem.

Bo Ukraina miała wszystko, tylko nie jedną Cerkiew. Największa struktura, Ukraińska Prawosławna Cerkiew, pozostawała w jedności kanonicznej z tą z Moskwy. Obok funkcjonowały byty mniej lub bardziej uznawane, z własnymi patriarchami, metropolitami i ambicjami. Religijny patchwork, który politykom zaczął przeszkadzać bardziej niż brak asfaltu na drogach.

I wtedy na scenę wkroczył Bartłomiej I, patriarcha Konstantynopola – taki papież w ogólnoświatowym prawosławiu, lecz bez prerogatyw rezydenta Watykanu. I 5 stycznia 2019 r. pobłogosławił powstanie Prawosławnej Cerkwi Ukrainy z cichym poparciem, a jakże, amerykańskiego departamentu stanu z CIA w tle (Mike Pompeo).

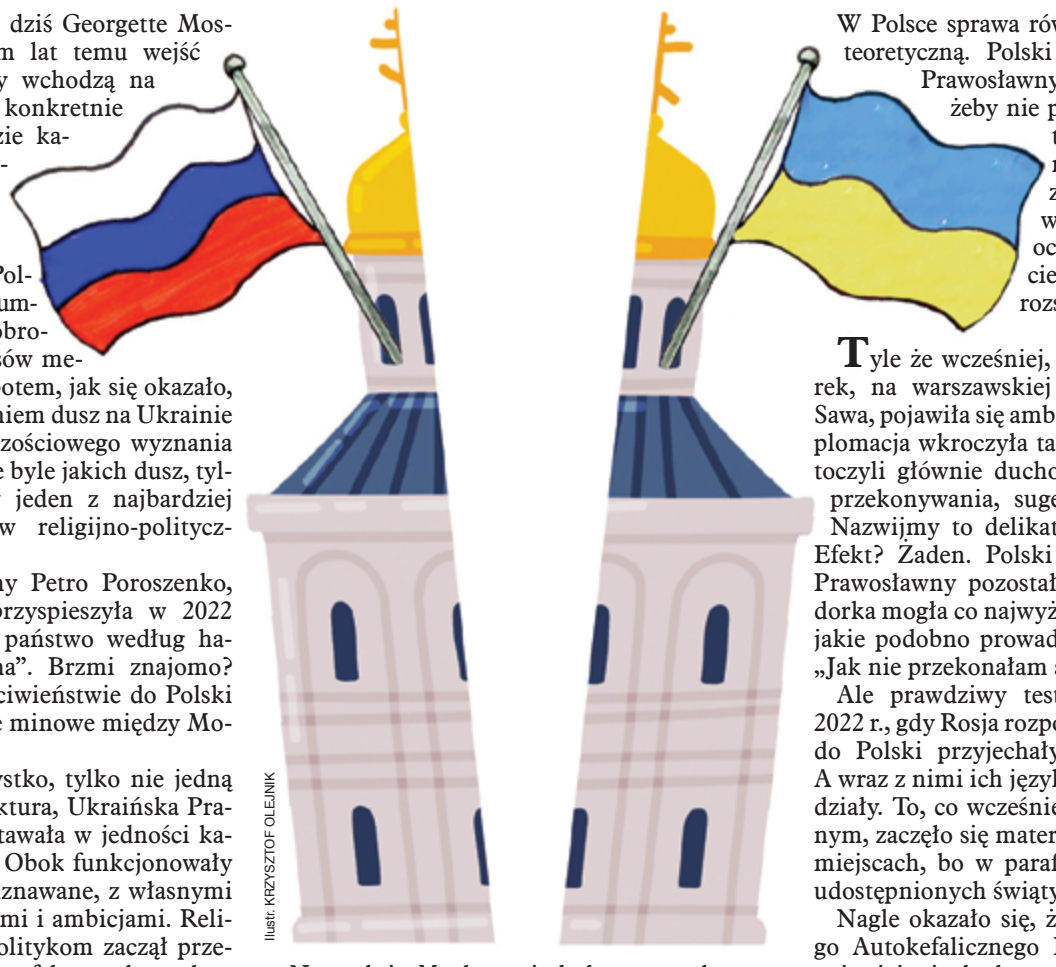

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Naturalnie Moskwa nie była tym zachwycona. Rosyjska Cerkiew z patriarchą Cyrylem na czele zareagowała jak obrażony monarcha, bo zerwała relacje z Konstantynopolem i zaczęła mówić o zdradzie, rozłamie i „końcu jedności prawosławia". „Jedność", jak się okazało, była krucha. Wystarczyło jedno pociągnięcie pióra Bartłomieja, żeby pękła jak porcelana.

W Polsce sprawa również przestała być tylko teoretyczną. Polski Autokefaliczny Kościół Prawosławny zareagował chłodno, żeby nie powiedzieć lodowato. Metropolita Sawa, zwierzchnik polskiej Cerkwi, nie zamierzał uznawać nowych struktur, które w jego ocenie powstały z pominięciem kanonów i zdrowego rozsądku.

Tyle że wcześniej, według naszych wiewiórek, na warszawskiej Pradze, gdzie rezyduje Sawa, pojawiła się ambasadorka Mosbacher. Dyplomacja wkroczyła tam, gdzie wcześniej spory toczyli głównie duchowni. Pojawiły się próby przekonywania, sugestie, być może naciski. Nazwijmy to delikatnie „zainteresowaniem". Efekt? Żaden. Polski Autokefaliczny Kościół Prawosławny pozostał przy swoim, a ambasadorka mogła co najwyżej dopisać do memuarów, jakie podobno prowadzi, rozdział pod tytułem „Jak nie przekonałam arcybiskupa".

Ale prawdziwy test przyszedł później. Po 2022 r., gdy Rosja rozpoczęła wojnę na Ukrainie, do Polski przyjechały miliony jej obywateli. A wraz z nimi ich język, traumy i cerkiewne podziały. To, co wcześniej było sporem teologicznym, zaczęło się materializować w konkretnych miejscach, bo w parafiach, wynajętych salach, udostępnionych świątyniach.

Nagle okazało się, że obok struktur Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego pojawiają się duchowni związani z PCU. Odprawiają nabożeństwa, organizują wspólnoty, odbierają owieczki. Jedni widzieli w tym naturalną potrzebę duszpasterską dla uchodźców. Inni tylko import religijnego rozłamu na polski grunt.

Bo prawosławie, wbrew pozorom, nie jest religią typu „gdzie dwóch lub trzech, tam parafia". Tu wszystko ma swoje granice, jurysdykcje i kanony. A Polska, przynajmniej według tej logiki, należy do Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego. Każda próba tworzenia równoległych struktur wygląda więc jak wchodzenie z butami do cudzego domu. Nawet jeśli robi się to w imię wyższych racji.

Efektem jest cichy konflikt. Bez barykad i pochodni, ale za to z narastającym napięciem. Jedni duchowni nie uznają drugich. Wierni nie zawsze wiedzą, dokąd iść. Jedni mówią o kanonach, drudzy o potrzebach ludzi. A nad tym wszystkim unosi się duch wielkiej polityki,

która jak zwykle rozgrzała emocje i poszła sobie dalej.

Z perspektywy 2026 r. widać wyraźnie, że autokefalia na Ukrainie nie była wyłącznie sprawą wiary. Była elementem geopolitycznej operacji: Ukraina odcinała się od Rosji, Zachód jej kibicował, a religia stała się jednym z narzędzi tej operacji. Problem w tym, że narzędzia mają to do siebie, że czasem zaczynają żyć własnym życiem.

Czy w Polsce wybuchła „wojna religijna"? Nie. Ale zamiast jednego konfliktu mamy kilkanaście małych wojenek o parafie, o księdza, o to, czyja liturgia jest „prawdziwsza". Konflikty, które nie trafiają na pierwsze strony gazet i portali, ale skutecznie psują życie tym, którzy politykę mają w dupie.

A ambasadorka Mosbacher? Zniknęła, jak znikają dyplomaci. Zostawiła po sobie wspomnienie nadaktywności we wszelkich możliwych segmentach polskiej polityki, życia gospodarczego i społecznego oraz pytanie, czy naprawdę sądziła, że da się ustawić polskie prawosławie przy pomocy dyplomatycznej presji. Tę bitwę z CIA Cerkiew póki co wygrała. Jak nie przymierzając Republika Kuby w o wiele tragiczniejszym kontekście.

JMP

WIEŚCI GMINNE i INNE

■ W Wąchocku, mieście będącym pomnikiem polskiego dowcipu, wydarzyło się coś, co bawi wszystkich poza głównym zainteresowanym. Pijany amator czułości postanowił przytulić psa rasy cane corso – wielkie czarne bydlę, które w przeciwieństwie do swojego interpelanta zachowało całkowitą trzeźwość. Pies, nie podzielając entuzjazmu dla alkoholowych zalotów, skrócił delikwenta o nos. Znaczy odgryzł go i zjadł, a facet nie ma teraz czym wąchać.

■ 70-letni mieszkaniec gminy Jaraczewo padł ofiarą własnej sentymentalnej pamięci. Pędząc 105 km/h w terenie zabudowanym, sądził, że czas zatrzymał się w epoce, gdy kilkaset złotych wsunięte między dokumenty było wyrazem obywatelskiej troski o dobrostan funkcjonariusza. Niestety, trafił na grupę SPEED, która zamiast tradycyjnego „dogadania się" woli kolekcjonować punkty karne i sukcesy w raportach. Bolesny dowód na to, że w polskiej drogówce stare dobre obyczaje wymarły, a ich miejsce zajęła bezduszna, nowoczesna uczciwość. Staruszek, zamiast skromnego mandatu, dorobił się zarzutów prokuratorskich i kary 3000 zł, co czyni jego nostalgię za dawnymi latami wyjątkowo kosztowną.

■ Policjanci z Wolsztyna w pogoni za Audi postanowili przetestować wytrzymałość metalowego słupa. Efekt? Radiowóz do wymiany, a 26-latek z zakazem prowadzenia – zatrzymany. Teraz my, podatnicy, zafundujemy policji nowe auto, a uciekinierowi pięcioletnie wczasy w więzieniu. Uprasza się więc kierowców o litość wobec budżetu państwa: wasza brawura w połączeniu z policyjną niezdarnością to luksus, na który podatników po prostu nie stać.

■ W Częstochowie państwo wyhodowało złodzieja doskonałego. Świadek koronny przez dwa lata bezkarnie wynosił klocki Lego z Empików, bo policja od ochrony tak pilnie strzegła jego nowej tożsamości, że kryminalni byli bezsilni wobec nagrań z monitoringu. Dopiero jakiś zgrzyt w tym policyjnym cyrku pozwolił go zidentyfikować. Jak dzieci, doprawdy, jak dzieci. Jedni bawią się w chowanego za publiczne pieniądze, a drugi kradnie zabawki pod osłoną immunitetu dla kapusiów.

■ Krajowa Administracja Skarbowa odniosła spektakularny sukces, przerywając najbardziej absurdalny szlak handlowy w dziejach nowożytnego przemytu. Oto obywatel Polski postanowił wywieźć 40 kg nepalskiego haszyszu do Rosji przez przejście w Grzechotkach. Pomysł, by szmuglować narkotyki do kraju, który sam w sobie jest jedną wielką, niekończącą się halucynacją, świadczy o tym, że kurier musiał być głównym testerem własnego ładunku jeszcze przed przekroczeniem granicy.

■ Na Śląsku trwa właśnie festiwal ksenofobii w wersji leśnej. Szopy pracze, nielegalni imigranci z Ameryki Północnej, bezczelnie plenią się w naszych kniejach, wyżerając jaja rodzimym ptakom i wypierając z rynku pracy lisy oraz borsuki. Leśnicy, pełniący rolę straży granicznej, ostrzegają przed wścieklizną i glistami. Nienawiść do przybyszów to u nas instynkt silniejszy niż miłość do przyrody – zwłaszcza gdy przybysz ma czelność być sprytniejszy od tubylca.

■ Krakowianin udowodnił, że cierpliwość ma cenę. Przez dwa miesiące zbierał pod klubem nocnym to, co inni porzucili – głównie plastik po napojach bezalkoholowych. Bilans tej mrówczej pracy to 4683 butelki i cztery godziny spędzone przy automacie. Zarobek: 2300 zł. To rzadki dziś przykład skrajnej konsekwencji. Człowiek ten poświęcił czas na czynność żmudną, by zamienić odpady w konkretną gotówkę. Bez wielkiej ideologii, za to z godnym podziwu uporem.

■ Karol Wagner z Tatrzańskiej Izby Gospodarczej z bólem odnotował, że ceny noclegów pod Giewontem poleciały na pysk o 30, a nawet 40 proc. Powód jest tragiczny: pod Tatrami ubyło turystów z Bliskiego Wschodu. Bez gości w turbanach, którzy jako jedyni nie dostawali zawału na widok zakopiańskich rachunków, tamtejszy biznes turystyczny zaczyna przypominać stypę po oscypku. Nie dajmy się jednak zwieść tej nagłej taniości. To, co zaoszczędzicie na spaniu w pokoju z widokiem na sąsiada, natychmiast oddacie na stacji benzynowej, bo paliwo drożeje z równie wielką pasją, z jaką górale doją ceprów. Wniosek jest prosty i od lat niezmienny: do Zakopanego nadal jechać nie warto. Chyba że ktoś lubi płacić krocie za przywilej stania w korku i oglądania, jak polska chciwość przegrywa z arabską nieobecnością.

■ Poparcie Polaków dla przyjęcia euro spadło do rekordowo niskiego poziomu. Według sondażu SW Research wspólną walutę w ciągu najbliższych 10 lat popiera jedynie 22,1 proc. badanych, podczas gdy po wejściu Polski do UE w 2004 r. było to ok. 60 proc. Badania pokazują też silny podział polityczny. Zwolennicy koalicji rządzącej częściej popierają euro, natomiast wyborcy PiS i Konfederacji są zdecydowanie przeciwni. Minister finansów Andrzej Domański zapewnił, że rząd nie planuje obecnie wejścia Polski do strefy euro. Polska pozostaje poza strefą euro razem z Czechami, Danią, Rumunią, Szwecją i Węgrami.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

■ Narodowy Bank Polski z satysfakcją donosi, że polski sektor bankowy po pierwszym kwartale 2026 r. spuchł o kolejne 9,43 mld zł czystego zysku. Prawie 41 mld bankierzy wyssali z samych odsetek, a kolejne 7 mld dołożyliśmy im w opłatach i prowizjach za to, że łaskawie pozwalają nam trzymać u nich pieniądze. Banki prosperują, bo lichwa podniesiona do rangi państwowego systemu zawsze popłaca. Gratuluję bankierom apetytu, a dłużnikom – anielskiej cierpliwości w finansowaniu cudzego luksusu kosztem własnego portfela.

■ KGHM Polska Miedź wspięła się na srebrne podium świata, zajmując drugie miejsce w rankingu World Silver Survey 2026. W 2025 r. nasi górnicy wydłubali z ziemi 1347 ton tego kruszcu, co czyni polskie kopalnie największym źródłem srebra na globie. Najpiękniejsze w tym sukcesie jest jednak to, że srebro w KGHM powstaje jako produkt uboczny, czyli – mówiąc wprost – odpad przy przerobie miedzi. Cieszmy się, że chociaż w kategorii „szlachetne pomyje" nikt nam nie podskoczy.

■ Wacław Milewski to żywy wyrzut sumienia dla wszystkich, którzy marzą o emeryturze przed setką. Ów stuletni rzemieślnik z Poznania pracuje nieprzerwanie od 14. roku życia. To czyni go najbardziej dochodowym obywatelem w historii ZUS-u. Instytucja ta, która najchętniej wypłacałaby świadczenia po zmartwychwstaniu, słusznie stawia go za niedościgniony wzór. Milewski chce zamienić swój warsztat w muzeum, nie zauważając, że sam jest najcenniejszym eksponatem. Dowodem, że Polaka można eksploatować przez 86 lat, a on wciąż z uśmiechem produkuje wykrojniki. Ideał obywatela według marzeń każdego rządu: pracuje od dziecka, nie obciąża systemu i prawdopodobnie sam sobie wykuje tablicę pamiątkową, oszczędzając państwu nawet na kosztach pogrzebu. Jeśli Tusk i Domański szukają sposobu na dziurę budżetową, powinni sklonować pana Wacława.

■ Państwo polskie wyłoży ćwierć miliona złotych na renowację kawałka tkaniny, który przez dekady gnił w bańce po mleku pod Iłowem. Ściera była ongiś sztandarem 68. Wrzesińskiego Pułku Piechoty. Do tego dorzucono 100 tys. zł z kieszeni naiwnych obywateli i samorządów, co daje łącznie 350 tys. zł za artefakt, który prezydent Mościcki wręczył pułkowi w 1928 r., a żołnierze AK zakopali tak skutecznie, że dopiero w 2025 r. wygrzebali go poszukiwacze skarbów. Zamiast wydać te pieniądze na cokolwiek pożytecznego – choćby na dożywianie żywych, a nie konserwowanie martwych – funduje się nam kult zgniłej szmaty podniesionej do rangi narodowej relikwii. Umówmy się: poszukiwacze skarbów znaleźli bańkę, ale to Ministerstwo Kultury zrobiło z nas wszystkich balona.

■ Brandenburski sąd wycenił życie niemieckiego policjanta na 10,5 roku polskiego turnusu w tamtejszym więzieniu. Nasz 27-letni rodak, pędząc skradzionym wozem, staranował funkcjonariusza z kolczatką, którą ten chciał go zatrzymać. Prokuratura domagała się dożywocia za morderstwo, ale sąd – w przypływie zachodniego humanitaryzmu – uznał, że to tylko nieszczęśliwy splot okoliczności, „dobrego domu" i nadmiaru psychotropów w krwiobiegu. W Niemczech wystarczy mieć odpowiednie recepty i solidne pochodzenie, by rozjechanie policjanta stało się jedynie bolesnym uchybieniem w karierze ambitnego złodzieja.

■ Paweł Grzesiowski, główny inspektor sanitarny, poinformował o pierwszym Polaku objętym nadzorem z powodu kontaktu z hantawirusem na statku MV Hondius. Mężczyzna nie ma objawów, ale przez siedem tygodni będzie monitorowany przez służby. Na wycieczkowcu wykryto wirusa Andes – odmianę hantawirusa, która zabiła już trzy osoby na pięć zakażonych. Faktycznie, nie ma się z czego śmiać. Zapewne każdy ma w pamięci kogoś, kto naigrywał się z Covida, a obecnie gryzie piach.

RJ

PS Informacje pochodzą z prasy wiejskiej i małomiasteczkowej, czyli z obszarów, które cywilizacja odwiedza nieregularnie. Za ich prawdziwość, rzetelność oraz stan umysłowy autorów nie ponosimy odpowiedzialności prawnej, honorowej ani towarzyskiej. Uważamy jednak, że nawet kontakt z nieprawdą bywa pożyteczny, pozwala bowiem lepiej docenić luksus obcowania z prawdą.

eprasa.pl 1a9d38bf24

Korespondencja z nieistniejącego kraju

Dwa stołki Naddniestrza

Tyraspol to stolica samozwańczej Naddniestrzańskiej Republiki Mołdawskiej (NRM) – kraju, który na fladze ma sierp i młot. Przy okazji wizyty w Kiszyniowie postanowiłem zatem obejrzeć tamtejsze obchody pierwszomajowe.

Do Naddniestrza wjechać można jedynie od strony Mołdawii. Granica z Ukrainą, z obawy przed stacjonującymi w Naddniestrzu wojskami rosyjskimi, jest zamknięta i zaminowana. Autobus zatrzymuje się na jednostronnym przejściu granicznym, wszyscy wysiadają i – z uwagi na to, że NRM jest państwem nieuznawanym – zamiast pieczątek w paszporcie dostają karty wjazdu.

Jadąc z Kiszyniowa do Tyraspola, po przystanku w Benderach, mija się posterunek kontrolny. Na rękawach obstawiających go żołnierzy widać flagi rosyjskie. Posterunek wystawiony jest w tym miejscu od 1992 r., ma chronić strategiczny most nad Dniestrem przed zagrożeniem ze strony mołdawskiej.

Tyraspol jest na pierwszego maja udekorowany. Na budynkach powiewają czerwono-zielone flagi Naddniestrzańskiej Republiki Mołdawskiej z sierpem i młotem, w obowiązkowym towarzystwie flag Federacji Rosyjskiej. Przy głównej w mieście ulicy 25 Października (to oczywiście data rewolucji październikowej wg kalendarza juliańskiego) zawieszono instalacje, podobne do tych bożonarodzeniowych znanych z Polski. Druciane gwiazdy i wychodzące z nich promienie owinięte są wstążką świętego Jerzego. Kolory czarny i pomarańczowy, mające symbolizować Dzień Zwycięstwa, widać również na banerach o nim przypominających. Tymi kolorami przyozdobiona jest też scena, na której odbywają się główne obchody Święta Pracy.

Zaczynają się przemowy. Prelegenci mówią o solidarności, o potrzebie zwiększenia świadczeń socjalnych, transferów od bogatych do biednych. Pytam stojącą obok z kwiatami dziewczynę, kim są przemawiający ludzie. Odpowiada, że nie wie, stoi tam jedynie, by pogratulować babci, która też będzie występować pod koniec wydarzenia w imieniu lekarzy.

Na obchody nie przybyli politycy ani osoby publiczne. Tłum liczył nie więcej niż 300 osób. Widać jednak, że nie teraz obchodzone jest główne święto, że jestem świadkiem przygotowań do czegoś innego. Od wybuchu wojny rosyjsko-ukraińskiej stopniowo wygasza się obchody pierwszomajowe na rzecz obchodów Dnia Zwycięstwa.

W mieście znajduje się teatr. W repertuarze: „Warszawska melodia". Spektakl opowiada o miłości między warszawską studentką i rosyjskim weteranem wojennym, rozdzielonych przez wprowadzony w ZSRR po wojnie zakaz małżeństw obywateli tego kraju z cudzoziemcami. Skupia się on na dramacie ludzi w obliczu wielkiej polityki.

W tyraspolskim kinie wyświetlają filmy i rosyjskie, i zachodnie. Mieszkańcy miast jako swoimi chwalą się sukcesami Mołdawii – np. wylansowaniem piosenki disco z refrenem „Numa numa iei". Podobnie w Kiszyniowie, jako swoim, ludzie chwalą się niespodziewanym zwycięstwem piłkarskim Sheriffa Tyraspol z Realem Madryt z 2021 r.

Zdjęcia MACIEJ MŚCISŁAW MAKAREWICZ

W restauracji zagaduję dwójkę młodych ludzi. Dowiaduję się, że są zaręczeni. Gdy pada pytanie o politykę, chwalą się sytuacją swojego państwa. Mówią, że Naddniestrze potrafi siedzieć na dwóch stołkach – korzystać z samodzielnego bytu nieuznawanego przez społeczność międzynarodową i z bycia oficjalnie częścią Mołdawii. Korzystać z kontaktów z Europą i z Rosją. Tworzyć własne normy gospodarcze, ale czerpać też zyski z gwarantowanego Mołdawii handlu bezcłowego z Unią. Mimo przeciwnych sympatii politycznych nie boją się wojny z Ukrainą. Wręcz przeciwnie, dużo handlują z tym krajem – przez Mołdawię. Dla Ukrainy są w końcu jej częścią. Na wydawanych przez Mołdawię paszportach emigrują zarobkowo do Unii. Z kolei np. wykształcenie zdobywane w NRM uznawane jest w Rosji – chociaż śmieją się, że to chwilowo bezużyteczne, nikt tam póki co nie jeździ z obawy przed wcieleniem do armii.

Z Tyraspola do Odessy jest mniej niż 100 km. Codziennie kursują dwa autobusy. Ja decyduję się jednak na podróż przez Kiszyniów. Większość czasu i tak spędza się na granicy z Ukrainą. W drodze zagaduje mnie starsza kobieta, Galina. Chwali się dziećmi, wnukami. Podczas przejazdu przez Bendery wspomina przelotnie, jak w 1992 r., podczas wojny domowej w Mołdawii, po przyjeździe z Ługańska, przedzierała się pod ostrzałem przez to miasto do rodziny. Mówi, że od kul uratował ją Bóg. W autobusie gra rosyjskojęzyczne radio, w przerwie od muzyki podaje informację, że Rosja opracowuje plan działania na wypadek zaatakowania Królewca z Polski.

Po przesiadce w Kiszyniowie rozmawiam z inną kobietą, wracającą z wczasów w Stambule do Dniepru. Cieszy się z wyjazdu, ale nostalgicznie wspomina swoje wizyty na Krymie. Z nadzieją mówi, że przyjdzie jeszcze czas, gdy będzie tam można pojechać na ukraińskim paszporcie.

Do Odessy docieram wieczorem. Idę na plażę, przywitać się z Morzem Czarnym. Woda jest spokojna, nad nią na horyzoncie wschodzi krwawy księżyc. Jestem na falochronie, gdy zaczynają wyć syreny przeciwlotnicze. Nikt nie zwraca na nie uwagi. Widzę młode małżeństwo z synkiem, wędkują. Podchodzę, pytam, czy ryba bierze. Z dumą pokazują swoje zdobycze.

Odessa nie jest zniszczona. Poza portem nie widzę zbombardowanych budynków. Słucham jednak historii o wybuchach i stłuczonych szybach w samochodach na przedmieściach. Ludzie alarmów się nie boją, większość rakiet i dronów udaje się strącać. Przed tymi, które dolatują do celu i tak nie chowają się w schronach. Starają się żyć normalnie. Udaję się na Schody Potiomkinowskie – u ich podstawy wszystkie budynki są opuszczone, zdewastowane i rozszabrowane: dworzec morski, stacja kolejki linowej, przyportowe kamienice. Na górze schodów – życie kwitnie, niedawno otwarto nowy McDonald. Poza osłoniętym pomnikiem księcia Richelieu, o wojnie przypominają jedynie zakazy fotografowania portu i zamknięty Most Tiuszyna – zbyt dobry jest z niego widok na strategicznie ważne doki towarowe i silosy zbożowe.

Na schodach wokół ulicznych grajków zbiera się spora grupa osób. Pomimo zakazu śpiewają po rosyjsku. Odessa jest miastem w większości rosyjskojęzycznym, niektórzy ludzie się do piosenki przyłączają, niektórzy czekają na sensację, czyli przyjazd policji. Ta się nie pojawia. Na głównym targowisku miasta, Priwozie, na jednym ze stoisk z radia grają piosenki Wiktora Coja. Okoliczne handlarki podśpiewują, nikogo to nie bulwersuje.

Przy głównym dworcu kolejowym, na Kulikowym Polu, stoi budynek związków zawodowych. To tu w maju 2014 r. miały miejsce krwawe wydarzenia. Po zamieszkach wywołanych demonstracją Antymajdanu (ruchu opowiadającego się za federalizacją państwa i przeciw przystąpieniu Ukrainy do Unii Europejskiej, podejrzewanego o wsparcie z Rosji) prorosyjscy protestujący schronili się w tym gmachu przed kibolami i nacjonalistami. Budynek spalono, spłonęło prawie 50 osób. Do dziś go nie odbudowano. Przed nim znajduje się wystawa zdobycznego sprzętu wojskowego, lufy wraków czołgów i transporterów skierowane są w stronę jego wejścia.

Na chodniku pod wypalonym budynkiem związków toczy się wojna na graffiti. Widać na przemian zamalowywane napisy „Odessa nie zapomni" i „Odessa zapomniała". Ludzie zostawiają tam kwiaty. W eksponowanych wrakach rosyjskich czołgów mieszkają bezdomni.

Dziś w Odessie, pięknym kurorcie nad Morzem Czarnym, w związku z wojną turystyka jest właściwie jedynie krajowa i tylko w sezonie. Duża część infrastruktury turystycznej stoi pusta, ceny są więc bardzo niskie. Za 40 złotych przenocować można w pokoju z sauną i basenem. W mieście do północy – czyli początku godziny policyjnej – odbywają się imprezy. Widać grupki młodzieży, a pośród starych Ład, Wołg i Moskwiczy pojawiają się luksusowe zachodnie samochody, z głośników dudni muzyka.

Pomiędzy niedawno odwiedzonym przeze mnie Lwowem i Odessą widać wiele różnic. W Odessie do tej pory znajdują się tabliczki upamiętniające bohaterów Związku Radzieckiego, prawie wcale nie ma natomiast flag UPA. Różnicę widać także po rozmowach z ludźmi, chociaż mam świadomość, że widziałem ułamek rzeczywistości. We Lwowie ludzie pragnęli zwycięstwa, w Odessie – pragną pokoju. Ci mieszkańcy Odessy, z którymi rozmawiałem, twierdzą, że we Lwowie czują się jak w innym kraju. Ich pierwszym językiem jest rosyjski, którym w tym mieście ciężko się porozumiewać bez narażenia na nieprzyjemności czy wręcz szykany. Ludzie tutaj, po dowiedzeniu się, że jestem z Polski uśmiechają się; cieszą się, że ktoś odwiedza ich miasto.

Wracam pociągiem do Przemyśla. W przedziale sypialnym jadę z mieszkanką Odessy, która po 2014 r. wyjechała z Doniecka. Jej rodzina i znajomi rozjechali się po świecie, część jednak została na miejscu. W czasie naszej rozmowy wymienia esemesy z jedną z tych osób zza linii frontu. Z przyjaciółką, która z tego miasta pojechała akurat na wycieczkę do Petersburga z wnuczkiem. One też pragną pokoju, nie zwycięstwa.

MACIEJ MŚCISŁAW MAKAREWICZ

Eviva España

Ktoś w Europie ma jaja

Hiszpania, przez swoją kategorycznie antywojenną politykę, zasługuje na gromkie brawa ze strony tych wszystkich, którzy wolą pokój niż wojnę. Władze w Madrycie konsekwentnie sprzeciwiają się agresji na Iran.

Premier Pedro Sánchez mówi o nielegalnej wojnie, w której jego kraj nie zamierza brać udziału. Dlatego Hiszpania zamknęła przestrzeń powietrzną dla samolotów atakujących Iran. Stanowisko hiszpańskiego rządu jest jasne – mówił premier – współpraca z sojusznikami, lecz zawsze w ramach prawa międzynarodowego. Minister spraw zagranicznych José Manuel Albares dodał, że hiszpańskie bazy wojskowe nie będą wykorzystywane do celów wykraczających poza porozumienie ze Stanami Zjednoczonymi i Kartę Narodów Zjednoczonych.

– Hiszpania jest sojusznikiem, a sojusznicy mają prawo wyboru – to z kolei minister transportu Óscar Puente. Odpowiadając na izraelską retorykę, jakoby bombardowanie Iranu miało na celu jego wyzwolenie spod rządów ajatollahów – Puente zauważył też trafnie, że istnieją sposoby wyzwolenia kraju inne niż bombardowanie szkół i zabójstwa jego obywateli.

Premier Sánchez zapowiedział też, że przedstawi na forum Unii Europejskiej propozycję zerwania współpracy z Izraelem. Politycznie dodał, że uważa państwo żydowskie za przyjaciela – lecz nie akceptuje jego poczynań. Wezwał pozostałe kraje członkowskie UE do poparcia tej inicjatywy. Jak można było przewidzieć, nie znalazło się wiele państw Unii gotowych podskoczyć wpływowym sojusznikom. Sánchez wezwał tych, którzy rozpętali wojnę, do jej zakończenia i okiełznania izraelskiego przywódcy. Warto też przytoczyć inną jego wypowiedź: że nie można potępiać inwazji na Ukrainę i jednocześnie pochwalać ataku na Iran. A, jak wiadomo, tak właśnie zachowują się co poniektórzy politycy.

Na słowa i czyny Madrytu w charakterystyczny dla siebie sposób zareagował Donald Trump, ogłaszając, że w takim razie USA zrywają handel z Hiszpanią. Zaznaczył jednocześnie, że Hiszpania nie ma niczego, czego potrzebują Stany Zjednoczone. Skoro tak, to oznaczałoby, że dotychczasowy wzajemny handel był swego rodzaju fikcją, zatem po co byłoby go zrywać? – można zadać retoryczne pytanie.

W Hiszpanii nie tylko rząd jest przeciwko wojnie. Pod koniec kwietnia w Madrycie odbyła się potężna antywojenna demonstracja zorganizowana przez popieraną przez ponad 250 organizacji i stowarzyszeń Platformę Zatrzymajcie Wojnę. Przygotowała ona też antywojenną petycję podpisaną – jak informuje telewizja RTVE – przez ponad 10 tys. osób. Demonstrowano nie tylko przeciwko agresji na Iran, lecz także wznoszono hasło „Gazy nie da się zapomnieć".

Madryt ogłosił decyzję o ponownym otwarciu ambasady w Teheranie. Netanjahu nazwał to wojną dyplomatyczną przeciwko Izraelowi.

Dodając trochę bez sensu, że ktokolwiek atakuje państwo Izrael zamiast reżimów terrorystycznych, zapłaci za to cenę – tak jak gdyby agresorem była Hiszpania, a nie Izrael, który napadł na Iran i Liban.

Sánchez zapowiedział też, że Hiszpania nie będzie partnerem Izraela w budowaniu przyszłości regionu. Za tymi słowami poszły pierwsze czyny. Netanjahu nakazał wydalenie przedstawicieli Hiszpanii z Centrum Koordynacji Cywilnej i Wojskowej nadzorującej zawieszenie broni w Strefie Gazy. Twierdzi, że Hiszpania systematycznie zajmuje stanowisko przeciwne Izraelowi i jest do niego wrogo nastawiona. Jest to konstatacja poniekąd prawidłowa – pomijająca jednak przyczyny owej wrogości. Otóż Hiszpania od samego początku wojny występowała przeciwko agresji na Iran, co nie może się podobać Izraelowi. I jego amerykańskim poplecznikom również.

We wspomnianej antywojennej manifestacji wzięli udział politycy rządzącej lewicowej PSOE. Na tym tle widać wyraźny kontrast między postawą hiszpańskiej lewicy a polskimi ugrupowaniami, które same siebie nazywają lewicą. Cóż, taki mamy klimat (tym razem polityczny).

BOLESŁAW K. JASZCZUK

Ilustr. PAWEŁ FERENC

eprasa.pl 1a9d38bf24

Kto zamordował posła lewicy – pyta internet

Litewka smoleński

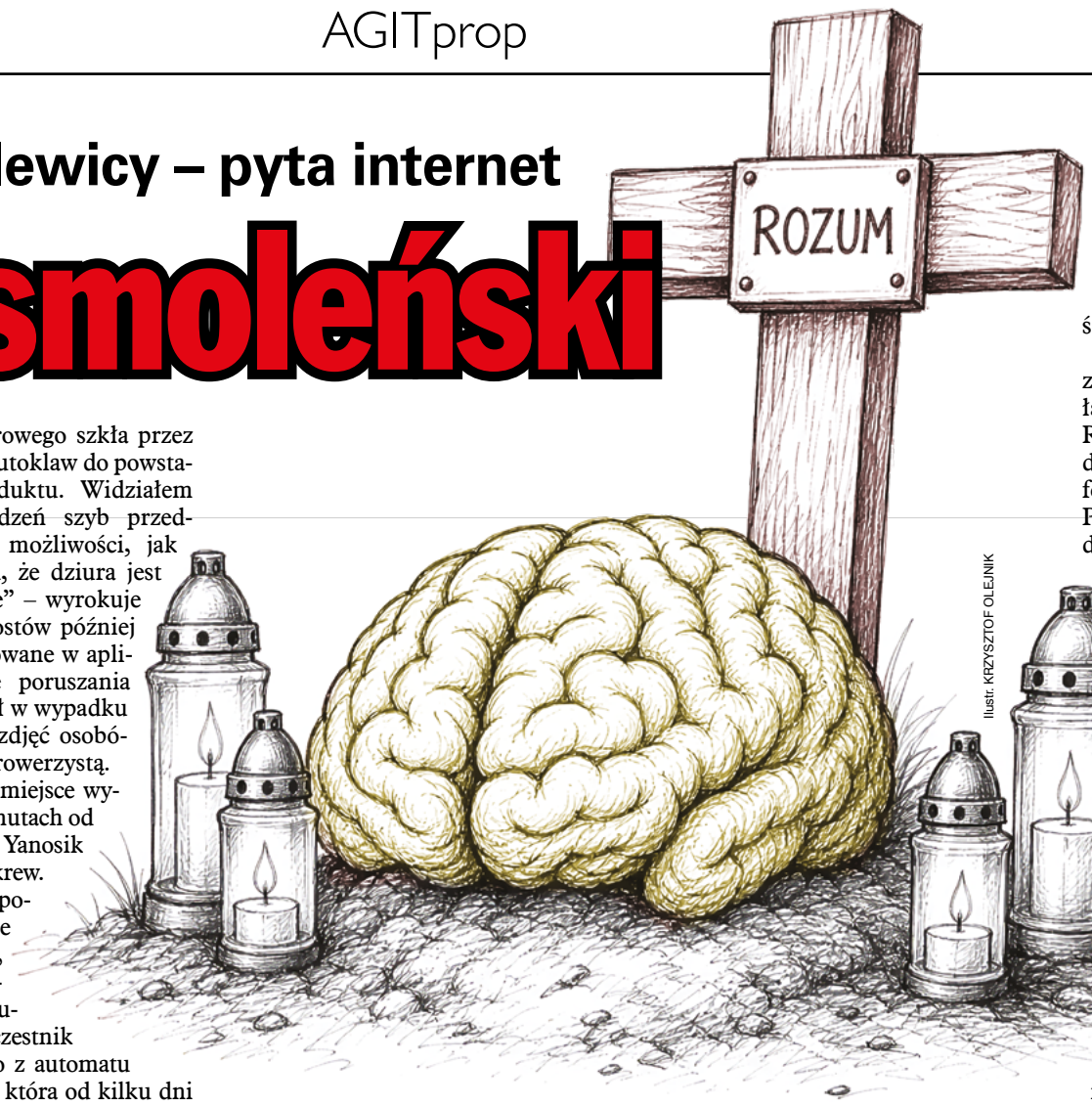

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Poseł Łukasz Litewka odszedł do domu Pana, a ziemia na jego mogile nie ma chwili spokoju, żeby się porządnie uklepać. Pielgrzymki do grobu na sosnowieckim cmentarzu ściągają z najdalszych zakątków Polski. Najwytrwalsi wierni organizują czuwania pod ostatnim adresem posła i zarządzają oceanem cmentarnych wiechci. Przyprowadzają nawet zwierzęta, które oddają Litewce hołd. Jak na przykład gęś siodłata o imieniu Sunny, której zdjęcia tulącej się do fotografii zmarłego obiegły internet. Mówi się, że każdy przeżywa żałobę na swój sposób, ale kiedy sympatia przechodzi w gloryfikację, zaczyna się kult, a na nim wyrasta sekta.

Mgły nie stwierdzono

Prokuratura Okręgowa w Sosnowcu ustaliła, że 23 kwietnia poseł Łukasz Litewka zginął o godzinie 13.14. Przeciętnego Kowalskiego ta wiadomość obeszła tak samo jak ceny skupu żywca, ale informacja – wbrew pozorom – jest cenna dla innych. „Artykuły z wywiadem partnerki śp. Łukasza zostały zmienione, a dokładnie ta wypowiedź właśnie partnerki. Tam było na początku napisane, że przed godziną 13.00 sprawdzała lokalizację i zobaczyła, że się zatrzymała w lasku i dłuższy czas nie poruszała ta lokalizacja, a chwilę później po 13.00 zadzwonił przyjaciel Łukasza z informacją. Brak ram czasowych w nowych artykułach. (…) Oni cały czas inwigilują tutaj i jak się kapnęli, że my bazujemy na tych wypowiedziach, a konkretnie na tych godzinach, i zaczynamy drążyć, to zmienili. Służby to nie zwykły Kowalski, mogą bardzo dużo” – napisała (pisownia oryginalna) Asteria ChaLisz na forum ludowego zespołu śledczego wyjaśniającego nie dla wszystkich oczywisty zgon pedalarza Litewki po zderzeniu z autem osobowym. Facebookowa grupa „Łukasz Litewka – wyjaśniamy tragiczną śmierć posła!” liczy 72,3 tys. członków i jeszcze więcej teorii spiskowych; co gorsza, obie wartości rosną.

„Fakt, iż prokuratura już znalazła sama linię obrony dla sprawcy – nie wezwał pomocy, bo był zdenerwowany, świadczy o tym, że jest on pod ochroną. Zwykły obywatel za to samo już byłby w areszcie, zagrożony karą więzienia do lat 3” – wysnuł tezę inny anonimowy uczestnik. „Pilnowali drogi i ewentualnych świadków podczas gdy inni torturowali go w lesie (miał telefon przy sobie i planował w maju ujawnić szokujące dowody na pedofilię w Platformie, w co zamieszany był mocno Tusk wokół afery kłodzkiej). Mieli sporo czasu, aby stracił tyle krwi, aby mieli pewność, że umarł i będą mogli wystawić nam baranom ten teatrzyk przy drodze z »aktorem« opłaconym i samochodem ze złomu z Niemiec. (…) Pewnie mieli zainscenizowane dwie sceny na wszelki wypadek” – notuje Understanding-Peapod3912. „Czy duchy WSI nadal krążą wokół najważniejszych wydarzeń w tym kraju? Co do tego wszystkiego ma pan Czarzasty i cała wierchuszka Lewicy? Kogo oni na litość boską tak potężnie chronią?!” – zastanawia się Maciej. „Apel do policji, żeby nie szukać na własną rękę, tylko czekać na oficjalne zakończenie śledztwa? – premierze, to było dobre za komuny (…) Fajne, ale bardzo stalinowskie i bardzo dla aparatu państwowego wygodne…” – zjebał Tuska anonimowy uczestnik. Inny zapytał, czy ludzie zwrócili uwagę, jak był wysunięty środek ciężkości trumny podczas pogrzebu. Zapewne była pusta. Rodzice Litewki nie płakali, więc na pewno poseł żyje!

Było słychać strzały

Analizy wypadku są szczegółowe i wyjęte z zakamarków okrężnicy. Na grupie można znaleźć opinie „niezależnych ekspertów”, „byłych biegłych”, przedstawicieli chłopskiego rozumu i bioenergoterapeutów. „Pracowałem w firmie Saint Gobain przez dwa i pół roku przy laminacji szyb, przednich – od powstania surowego szkła przez myjkę, laminację, autoklaw do powstania gotowego produktu. Widziałem różne typy uszkodzeń szyb przednich, ale nie ma możliwości, jak przy tym wypadku, że dziura jest na przedniej szybie” – wyrokuje Mirosław. Kilka postów później można znaleźć rysowane w aplikacjach trajektorie poruszania się biorących udział w wypadku pojazdów i wysyp zdjęć osobówek po czołówce z rowerzystą.

„Dojeżdżamy na miejsce wypadku po ośmiu minutach od zgłoszenia aplikacji Yanosik (…) Ciało, wokół krew. Ciało nie jest pod pojazdem. Ciało nie zostało podrzucone, jak krąży kilka hipotez” – relacjonuje anonimowy uczestnik grupy. Chuj niejako z automatu strzela w podgrupę, która od kilku dni udowadniała, że kierowca-morderca musiał specjalnie kilka razy przejechać po Litewce, bo niby jak inaczej jego ciało znalazłoby się pod furą. Zbiorowy pierdolec nie ogranicza się tylko do teorii. Są też działania terenowe.

W opowieść o krwi wokół pojazdu nie wierzy jedna z grupowiczek. Analiza zdjęć z czynności dochodzeniowo-śledczych policji wskazuje na coś zupełnie innego. Na materiałach nie ma juchy ani flaków, co gorsza, policjant trzymający rower nie ma rękawiczek. Autorami zdjęć są co prawda dziennikarze przybyli na miejsce kawał czasu po wypadku, ale nie szkodzi. Grupowiczka jedzie przeczesywać trawnik w poszukiwaniu rdzawych plam, bo ciało na pewno podrzucono po pobiciu. Jeśli plamy są, to gdzieś głębiej w lesie. Jeśli nie ma ich w miejscu kolein po zaryciu atutem w posła – sprawa jest jasna. Wstawia na grupę zdjęcie zielska uwalanego bordowym lakierem i pyta, „czy to może być to?”. Między debatami o „przecięciu aort w nogach Litewki”

ktoś wrzuca wygenerowany przez AI projekt pomnika posła i pyta, co sądzą o nim grupowicze. Wszyscy są za. Lajki idą w tysiące. Gdzieniegdzie przewija się grafika z bł. ks. Jerzym Popiełuszką i cytatem: „Korzeniem wszelkich kryzysów jest brak prawdy”.

Do punktu, w którym zatrzymał się poselski puls, dotarła także pielgrzymka kilkudziesięciu wyznawców żałobno-cmentarnych. Wspólnymi siłami żałobnicy umieścili na drzewie domek dla sów z portretem posła Litewki i licznymi inskrypcjami. Kapliczkę przyozdobiły dziecięce laurki w ramkach. Co prawda podczas instalowania artefaktu lunęło, ale „deszcz był jak chrzest, jak błogosławieństwo i mrugnięcie Łukasza u samego Boga z góry”. Relację z wydarzenia można znaleźć na Facebooku. Uczestniczyły w nim również wspomniana wcześniej gęś oraz kaczor Wirek. Wszyscy byli bardzo wzruszeni.

To był zamach

O to, żeby nie rozprzestrzeniać teorii spiskowych wokół śmierci posła Litewki, zaapelowała jego partnerka Natalia Bacławska. Nic z tego, sugestie, że zwierzolubny parlamentarzysta został potraktowany jak kret szpadlem, świetnie się sprzedają. Dziesiątki kont internetowych w social mediach, które dotychczas zajmowały się plotkarskim szlamem ze świata gwiazd, jak na komendę przemodelowały się na śledcze.

Najlepszą reklamę skręconych z gówna i patyków podejrzeń nakręciła koleżanka Łukasza Litewki Dorota Rabczewska. Wyznaczenie 25 koła za dane sprawcy wypadku ejakulowało fontanną absurdalnych podejrzeń. Przyznanie policyjnej ochrony podejrzanemu po wybryku Dody podkręciło atmosferę. Publicznego ujawnienia nazwiska i danych kierowcy Mitsubishi, który potrącił Litewkę, domagał się głośno poseł PiS Dariusz Matecki. Namiętnie wspominał, że posłowi Lewicy grożono. Co prawda zaznaczył, że nie zamierza snuć teorii spiskowych, ale kręcił korbą domysłów do czerwoności. Nic dziwnego, to prosta robota. Myślenie spiskowe, podobnie jak religia, zawiera element wiary w tezę przewodnią. Element spisku sprawia, że brak dowodów staje się dowodem idealnym. Jeśli w roli ofiary wystąpi postać powszechnie lubiana, uwagę tłumów można skupić za bezcen.

Charytatywna działalność Litewki zgromadziła w social mediach blisko milionową społeczność, jest z czego czerpać. Co można zrobić z takim zasobem, pokazał burdel po katastrofie smoleńskiej. Wybory już w przyszłym roku. Społeczna beatyfikacja Litewki zaś doprowadzi z czasem do identycznej sytuacji, jaka była z papką Janem Pawłem II – sprowadzi go do mema. Kontrkultura bierze się ze zmęczenia i przesytu, a gloryfikacja zmarłego w wypadku posła już wybiła poza skalę.

Czy 13.14 stanie się nową 21.37? Czas pokaże. Po sieci już lata mem z Łukaszem Litewką i Janem Pawłem II. Papaj mówi do posła: „Prawko ci zabrali, Łukasz, nie ryzykuj, jedź rowerem. Nic ci się nie stanie”.

IDALIA DUBICKA

Pocałunek transwestyty w Kiejkutach

Niejaki Marcin Faliński – były oficery wywiadu, który awansował na autora powieści szpiegowskich – ogłosił na łamach poważnego bądź co bądź dziennika, jakim jest „Rzeczpospolita”, że nasz ojczyzna znalazła się w niebezpieczeństwie. Polska przetrwała zabory, okupację, transformację, reprywatyzację, SKOK-i i trzy dekady telewizji publicznej, ale według ppłk. Falińskiego może nie przetrwać serialu, w którym polskie służby kradną szampon z hotelu, ktoś źle pokazuje Kiejkuty, a polski oficer całuje – cytuję – transwestytę.

„Rzeczpospolita” przestrzega: Ruscy w TVP!

Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

Obejrzałem kilka odcinków „Wojny zastępczej”. Uczciwie zaznaczam: ze słoikiem medycznej marihuany pod ręką, więc byłem przygotowany na różne formy kontaktu z rzeczywistością. Mimo to miałem wrażenie, że serial zrobiono w jakiejś dziwnej formule, której nie rozumiem. Może to pastisz. Może rzecz dla 15-latków. Albo eksperyment telewizji publicznej, która postanowiła sprawdzić, czy da się zrobić thriller szpiegowski w konwencji kolonii letnich z elementami geopolityki. Nie zdziwiło mnie więc, że Faliński dostał po nim drgawek. Zdziwiła mnie tylko skala. Faliński, trzeźwość was kiedyś zabije.

Pan podpułkownik nie powiedział po prostu, że „Wojna zastępcza” jest słaba.

Słabych seriali mamy w Polsce tyle, że gdyby każdy zgłaszać kontrwywiadowi, ABW musiałaby otworzyć stały punkt przy ramówce. Faliński poszedł dalej. Uznał, że serial jest prorosyjski, antypolski i szkodliwy dla bezpieczeństwa państwa.

Normalny widz widzi źle napisane sceny. Faliński widzi Kreml. Normalny widz mówi: „co to za idiotyczny dialog”. Faliński mówi: „operacja wpływu”.

Zarzuty ma przy tym piękne. Kiejkuty pokazane nie tak. Mundur nie taki. UOP pomylony z wojskiem. Werbunek u dentysty rzekomo nierealny, a przecież to akurat pasuje, gdyż to rzeźnicy. Oficerowie zachowują się jak pajace: skaczą po łóżku, kradną hotelowy szampon, a jeden wygląda jak Borat.

Falińskiemu przeszkadza też, że twórca serialu studiował w Moskwie. Wiadomo. Najbardziej jednak Falińskiego oburzył pocałunek oficera z – cytuję raz jeszcze – transwestytą. A przecież w służbach trzeba być gotowym na wszystko: fałszywą tożsamość, pracę pod przykryciem, kontakt operacyjny i poświęcenie dla ojczyzny. Czy gdyby bezpieczeństwo Polski zależało od jednego pocałunku, pan podpułkownik zacisnąłby zęby i wykonał zadanie, czy też ojczyzna musiałaby skapitulować? Obiecuję, że bym dygnął, panie pułkowniku.

Bo w tej awanturze realizm jest tylko pretekstem. Faliński nie broni prawdy o służbach, tylko ich portretu trumiennego. Stare środowiska mundurowo-tajne mogą opowiadać o brudnych operacjach, kłamstwach, grach, cynizmie i państwowej konieczności. Z tym problemu nie mają. Problem zaczyna się dopiero wtedy, gdy ktoś ich pokazuje jako ludzi śmiesznych.

Nie będę bronił „Wojny zastępczej”, bo nie ma czego. To może być serial głupi, krzywy i niezborny. Może mieć źle napisane sceny, fatalne dialogi, pomylone mundury i fabułę, która rozpada się w rękach. Ale głupi serial to wciąż tylko głupi serial.

I dlatego Faliński wypada tu ciekawiej niż sama produkcja. „Wojna zastępcza” bez niego spokojnie osiadłaby w VOD, gdzie lądują rzeczy, które istnieją, ale nikt nie musi o tym wiedzieć. Pan podpułkownik zrobił jej reklamę. Z telewizyjnego dziwadła zrobił sprawę państwową. Odegrał więc wybitną rolę komediową, której w serialu zabrakło.

Jeśli więc Faliński ma rację i serial naprawdę jest prorosyjską produkcją wpływu, to właśnie wykonał za nią najlepszą robotę. Bez niego obejrzałoby to kilku widzów, paru recenzentów i ja ze słoikiem medycznej marihuany. Dzięki niemu wielu dowiedziało się, że istnieje. Moskwa, jeśli w ogóle tam była, powinna mu wysłać hotelowy szampon z dedykacją.

DAMIAN DUSZCZENKO

eprasa.pl 1a9d38bf24

Przychodził Kukiz do Urbana

Woland na naszą miarę

Zapewne pan poseł Paweł Kukiz nie zostałby członkiem prezydenckiej Rady Nowej Konstytucji, gdyby nie lekcje, jakie pobrał od redaktora Jerzego Urbana i jego współpracowników.

Pamiętam wystraszoną twarz Kukiza siedzącego w gabinecie Urbana, w siedzibie tygodnika „NIE". Wtedy Paweł naprawdę bał się zemsty wszechwładnego Kościoła kat. Ktoś poradził mu, aby poszukał pomocy w tygodniku Urbana, bo „NIE" miało już liczne procesy o obrazę uczuć religijnych, które skutecznie wygrywało. Miało prawników, którzy nie bali się wejść w spór z czarną siłą.

Dlatego zdesperowany Kukiz przyszedł do nas. Po wstępnej rozmowie Urban przekazał go mnie, czyli ówczesnemu zastępcy redaktora naczelnego. Poprosiłem o pomoc obecnego wtedy w redakcji Hipolita Starszaka. Fachowca, bo w czasach Polski Ludowej zastępcę prokuratora generalnego i pułkownika Służby Bezpieczeństwa. I tak to „była SB" poinstruowała Kukiza, jak ma zeznawać w prokuraturze. Fachowo, bo prokurator Starszak nieraz niejednego przesłuchiwał.

Pan poseł Paweł Kukiz prezentuje się teraz jako tradycyjny, pobożny katolik.

I jak to często u polskich katolików bywa, z hagiograficznego życiorysu Kukiza znikają niepasujące do laurki fakty. Kompromitujące artystę w prawicowych, narodowych środowiskach.

Nie chcą one przypominać największego przeboju Pawła Kukiza. Piosenki znanej pod tytułem „ZCHN zbliża się". Nadal pamiętanej, chociaż wówczas nie nadawały jej stacje radiowe. Zwykle Kukiz śpiewał ją na żądanie widowni. Pierwszy i ostatni raz wydano ją na debiutanckiej płycie zespołu „Piersi" w 1992 r. Potem kopiowano na dziesiątkach tysięcy kaset metodą „nagraj – podaj dalej". Szybko stała się kultowym przebojem.

Stworzyła też publiczny wizerunek Pawła Kukiza jako bezkompromisowego, antysystemowego buntownika. Dała mu olbrzymią popularność i powszechną rozpoznawalność. Kapitał społeczny, z którego żyje do dzisiaj. Wtedy piosenka Kukiza wstrząsnęła światem szołbiznesu, mediów, polityki, a nawet wymiaru sprawiedliwości. Bo był to pierwszy antykatolicki protest song wykonywany przez osobę daleką od związków z postkomuszą lewicą. Uderzający w polski Kościół kat. Wtedy już Kościół politycznie zwycięski, poważany przez polityczne elity i ukochany przez większość mediów. Także tych uważanych dziś za „liberalne i europejskie".

Piosenka Kukiza wywołała wiele zgorszenia i protestów, zwłaszcza zawodowych katolików, nie tylko za obrazoburczy tekst. Była śpiewana na melodię pieśni polskich dzieci przystępujących do pierwszej komunii. Pewnie dlatego miliony Polaków-katolików nie miały problemów ze zbiorowym śpiewaniem jej.

Ponieważ w tamtych latach rządziła katolicka prawica, zwłaszcza Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe, szybko na artystę doniesiono do prokuratury. Kukiz musiał się tam stawić. Bał się tego, bał się surowego, grożącego mu wyroku za obrazę uczuć religijnych.

Dlatego postanowiliśmy stworzyć artyście linię obrony.

Po wspólnej burzy mózgów wybraliśmy najbardziej kuriozalny wariant. Z szatanem jako autorem tego tekstu, podrzuconego na kartce Kukizowi przez złe moce. – Masz mówić to arcypoważnie, bez cienia uśmiechu

– pouczał Kukiza prokurator Hipolit Starszak. – Zagraj ortodoksyjnego katolika wierzącego w szatana, czyli upadłego anioła.

I okazało się, że Paweł zdolności aktorskie posiada. Zagrał w prokuraturze katolika jak z nut. A potem zagrał w kilku polskich filmach. Role degenerata, czyli polityka amatora.

Ale co z kartką od szatana? – na odchodne przytomnie zapytał Kukiz. Najlepiej gdyby zniknęła, zaproponował pułkownik Starszak, bo wtedy nie ma dowodu przestępstwa.

I wtedy przypomniał mi się mistrz Woland. Ogień jest atrybutem szatana. Szatan najpierw dał Kukizowi kartkę z tekstem piosenki, potem

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ją spalił. Niech tak zeznaje w prokuraturze, ustaliliśmy.

Wcześniej zwróciliśmy też uwagę artyście, że w tytule piosenki źle napisał skrót partii Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe. Zamiast „ZChN" było tam „ZCHN". Kukiz przyznał się do pomyłki. Tłumaczył, że kiepsko zna się na polityce. Przyszło nam wtedy do głowy, że ta pomyłka może być dodatkowym argumentem, że ów song nie dotyczy wpływowej wówczas partii politycznej.

Tak pouczony przez byłego pułkownika SB i prokuratora PRL, artysta Kukiz wprawił w osłupienie prokuratorów III RP. I zmusił ich do powolnego, ostrożnego postępowania.

Jesienią 1993 r. wybory parlamentarne wygrały SLD i PSL. I wtedy niezawisła prokuratura zupełnie straciła zainteresowanie rzekomą obrazą uczuć religijnych dokonaną przez artystę Kukiza.

Zwycięstwo „komuny" dało wiatr w żagle karierze Kukiza. Został politykiem, choć wcześniej deklarował: „Jak zostanę politykiem, to naplujcie mi w ryj i mówcie do mnie szmato".

Teraz ma szansę pisać tekst nowej, prawicowej konstytucji. A w razie wpadki znów może wskazać na dzieło szatana.

PIOTR GADZINOWSKI

Jestem Czytelnikom „NIE" winna wyjaśnienie

Pożegnanie filozofa

Jak zapewne Państwo zauważyli, z naszych łamów znikły felietony Jana Hartmana. Prof. Hartman przestał pisać do „NIE", kiedy zauważył, że w tygodniku pojawił się Omar Faris: działacz palestyński, wiceprzewodniczący Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego Palestyńczyków Polskich.

Kiedy w październiku zeszłego roku prof. Hartman rozpętał burzę swoim zaskakującym wpisem na temat udziału posła Franciszka Sterczewskiego w poprzedniej Flotylli Sumud – „Życzę polskim nazistom z hamasowskich kutrów, żeby posiedzieli sobie w jednym z cieplutkich więzień na pustyni Negew" – w necie pojawiły się wezwania do bojkotu naszego tygodnika w związku z publikowaniem jego felietonów. Odpowiedzieliśmy wtedy oświadczeniem: „Nie rozumiemy postawy prof. Jana Hartmana, a jego wpis, życzący posłowi Franciszkowi Sterczewskiemu więzienia w Izraelu, uważamy za obrzydliwy. Z drugiej strony – koncept, że wolność słowa sięga tylko tak daleko, jak daleko rozciąga się nasza akceptacja dla głoszonych w jej ramach poglądów, uważamy za śmieszny". To jednak działa w obie strony. Profesor Hartman ma oczywiście absolutne prawo nie chcieć występować na jednych łamach z przedstawicielem narodu palestyńskiego. Ale przecież trudno sobie wyobrazić, że zrezygnujemy ze współpracy z Autorem, który podziela nasze wartości i spojrzenie na świat, bo nie odpowiada on prof. Hartmanowi.

Osobiście bardzo cenię i lubię prof. Jana Hartmana – ale obiektywnie rzecz biorąc, drogi jego i tygodnika „NIE" bardzo się rozeszły. W opublikowanym ostatnio w „GW" eseju zatytułowanym zadziwiająco „To nie Żydzi, lecz Arabowie byli i są największymi krzywdzicielami Palestyńczyków", mówienie o ludobójstwie, jakiego armia izraelska dopuszcza się w Gazie, prof. Hartman określa mianem „sztuki zidiocenia z nienawiści". My wierzymy, że – podobnie jak w przypadku holokaustu – nadejdzie dzień, w którym wszyscy przyzwoici ludzie na świecie izraelskie ludobójstwo potępią.

Kiedy tak się stanie, z radością powitamy prof. Hartmana z powrotem na naszych łamach.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Gdy piosenka idzie do wojska

Eurowyjce nad Gazą

Tegoroczna Eurowizja zapowiada się wyjątkowo, choć nie z powodów muzycznych. Konkurs, który od lat powtarza bajkę o własnej „apolityczności", wszedł w jeden z największych kryzysów w swojej historii. Nie chodzi już o jedną piosenkę, jednego wykonawcę ani o kolejną awanturę fanów na Twitterze. Chodzi o to, czy widowisko oglądane przez miliony ludzi, finansowane przez sponsorów i organizowane przez publicznych nadawców, może jeszcze udawać, że istnieje poza polityką.

Bojkoty zdarzały się wcześniej. Austria nie wystąpiła w konkursie organizowanym przez frankistowską Hiszpanię, Turcja w 1979 r. wycofała się, gdy gospodarzem był Izrael. Zwykle protest dotyczył jednak organizatora. Tym razem sprzeciw skupia się wokół samego udziału Izraela i decyzji Europejskiej Unii Nadawców EBU, by mimo wojny w Gazie izraelskiego nadawcy nie wykluczać.

Skala napięcia jest większa niż przy typowych eurowizyjnych awanturach. Z udziału zrezygnowało już pięć krajów. Irlandia, Hiszpania i Słowenia nie wystawiają reprezentantów i nie pokazują transmisji, a słoweński nadawca zapowiedział w jej miejsce cykl filmów o Palestynie. Holandia i Islandia nie jadą do Wiednia, choć według części doniesień ich nadawcy nadal mają pokazać konkurs. Tak czy inaczej, pęknięcie jest widoczne. Eurowizja sprzedaje opowieść o wspólnocie ponad granicami, ale ta opowieść działa tylko do chwili, gdy ktoś zapyta, dlaczego jedne państwa można wyrzucić w imię wartości, a innym wciąż pozostawia się mikrofon.

Izrael ma realne szanse na dobry wynik. W zeszłym roku Yuval Raphael zajęła drugie miejsce i wygrała głosowanie widzów. Nadawcy z kilku państw zwracali uwagę na wyjątkowo wysoką liczbę głosów oddanych na Izrael, a Hiszpania i Irlandia domagały się wyjaśnień. EBU zarzuty odrzucała, ale po konkursie zmieniła zasady. Jedna osoba może teraz oddać najwyżej dziesięć głosów, zaostrzono też przepisy dotyczące promocji i kampanii. Organizatorzy nie powiedzieli, że system zawiódł. Powiedzieli tylko, że trzeba go pilnie naprawić. To dość elegancki sposób przyznania, że coś jednak śmierdziało.

Problemy wróciły już teraz. Izrael dostał ostrzeżenie za wielojęzyczny klip mobilizujący do głosowania na swojego śpiewaka. Materiały zachęcały widzów, by oddali po dziesięć głosów na izraelską piosenkę, a EBU nakazała przerwać ich rozpowszechnianie.

Tegorocznym reprezentantem Izraela jest Noam Bettan. Wykonuje utwór głównie po francusku. To wybór wygodny wizerunkowo: europejskie skojarzenia, miękka estetyka, szansa na głosy z Francji i Belgii. Piosenka jest mniej ostentacyjnie polityczna niż zeszłoroczna propozycja, ale polityka nie znika. Po prostu schodzi niżej: do języka, promocji, narracji i samej obecności Izraela na scenie.

Izrael od lat traktuje Eurowizję jako narzędzie *soft power*. Konkurs pozwala pokazywać kraj jako nowoczesny, liberalny, zachodni, rozrywkowy, należący do europejskiej wspólnoty kulturowej.

Rys. WIDGET

Równolegle toczy się debata o okupacji, bombardowaniach, głodzie i odpowiedzialności za działania w Gazie.

Konkurs w Tel Awiwie w 2019 r. też wywołał protesty. Dziś jest jednak trudniej, bo skoro Rosję po inwazji na Ukrainę wykluczono z Eurowizji, pytanie o odmienne traktowanie Izraela nasuwa się dość natrętnie.

I nie da się go zakrzyczeć refrenem o apolitycznej zabawie.

Dodatkowym problemem jest Moroccanoil, izraelska firma kosmetyczna od lat związana z Eurowizją jako jeden z głównych sponsorów. Trudno mówić o neutralnym konkursie, gdy ważny partner pochodzi z państwa, którego udział budzi największe protesty. Podobnie źle wyglądały zeszłoroczne zarzuty o wyciszanie negatywnych reakcji publiczności podczas występu Izraela. Dla krytyków wyglądało to jak wygładzanie rzeczywistości, czyli usuwanie z obrazu wszystkiego, co psuje ładny kadr.

Największy kryzys może dopiero nadejść. Jeśli Izrael wygra, Eurowizja stanie przed problemem poważniejszym niż obecne protesty. Zwycięstwo byłoby nie tylko sukcesem artystycznym, ale też wizerunkowym triumfem izraelskiego państwa. A gdyby Izrael miał organizować kolejną edycję, skala bojkotu mogłaby być jeszcze większa. Część nadawców musiałaby wybierać: jechać i legitymizować wydarzenie albo zostać w domu i usłyszeć, że to oni upolityczniają konkurs.

Tyle że ten zarzut brzmi coraz bardziej żałośnie. Eurowizja już jest polityczna. Była polityczna, gdy wykluczała Rosję. Była polityczna, gdy głosowania układały się według sympatii regionalnych i diaspor. Była polityczna, gdy państwa wykorzystywały ją do poprawiania własnego wizerunku. Różnica polega na tym, że tym razem polityka nie stoi grzecznie za kulisami. Weszła na scenę i zaczęła rozsadzać widowisko od środka.

W tej sytuacji Finlandia wygląda dla wielu fanów nie jak faworyt, lecz jak ostatnia deska ratunku dla konkursu. Nie dlatego, że fińskie zwycięstwo rozwiązałoby problem Izraela, Gazy, EBU i podwójnych standardów, ale dlatego, że byłoby najbezpieczniejszym scenariuszem: bez natychmiastowej groźby bojkotu kolejnej edycji, bez gigantycznego triumfu propagandowego Izraela i bez konieczności tłumaczenia, jak konkurs o „jednoczeniu przez muzykę" ma odbywać się w kraju, za przeproszeniem, zbrodniczym.

Finlandia pozwoliłaby EBU wrócić do starego mitu Eurowizji: sprawna telewizja publiczna, północna Europa, trochę kampu, trochę dziwactwa, żadnej oczywistej katastrofy wizerunkowej. Ale problem polega na tym, że Eurowizja dawno przestała być wyłącznie konkursem piosenki. Stała się sporem o granice neutralności, podwójne standardy i to, czy kultura masowa może dalej udawać, że nie widzi świata, z którego sama żyje. Można to jeszcze przykrywać brokatem, kamerą i uśmiechem prowadzących. Tylko że w tym roku brokat coraz bardziej przypomina pył z gruzów.

WIOLA KRYSIAK

eprasa.pl 1a9d38bf24

Kościec wiary

Kościół od niemal dwóch tysięcy lat udowadnia, że zarobić da się na wszystkim.

Gdyby chcieć policzyć wszystkie relikwie czczone w Kościele katolickim, trzeba by zacząć od założenia, że prawa matematyki przestają działać, gdy zaczynamy liczyć święte czaszki. Bo o ile jedna głowa przypada zwykle na jednego człowieka, o tyle w świecie relikwii ta proporcja dawno się rozpadła, a jej miejsce zajęła logika znacznie bardziej elastyczna, w której kilka miast może z równą powagą twierdzić, że posiada dokładnie ten sam autentyczny fragment tego samego świętego.

Nie jest to zjawisko nowe, bo problem autentyczności relikwii towarzyszy im od początku. W przypadku wielu świętych liczba przypisywanych im szczątków przekracza to, co można by uznać za anatomicznie możliwe, a mimo to każdy z tych fragmentów funkcjonuje w swoim miejscu jako prawdziwy, otoczony kultem, historią i – co najważniejsze – wiernymi.

Kult trzeciego stopnia

W średniowieczu nikt się tym specjalnie nie przejmował. Wręcz przeciwnie, im więcej relikwii, tym lepiej. Fragment kości, kawałek szaty, drzazga z krzyża – wszystko to miało wartość, która przekładała się na bardzo konkretne zyski. Pielgrzym przyjeżdżał, zostawiał ofiarę, kupował pamiątki i wracał do domu z przekonaniem, że zmył grzechy. A miejsce, które posiadało relikwie, rosło w siłę.

Nieprzypadkowo więc relikwie były dzielone, przekazywane i wykradane. Historia zna przypadki, w których całe miasta organizowały coś na kształt operacji specjalnych, by zdobyć szczątki świętego. Tak było choćby z relikwiami św. Mikołaja, które trafiły do włoskiego Bari w XI w.

Ale nawet wtedy pojawiał się problem, który dziś wraca jak bumerang. Skoro ciało zostało przeniesione, a jego fragmenty rozdzielone, to ile z tych fragmentów jest naprawdę autentycznych? I czy w ogóle da się to ustalić? A mimo to kult trwa.

Weźmy choćby relikwie związane z męką Chrystusa. Fragmenty krzyża, ciernie z korony, gwoździe – lista jest długa, a liczba miejsc, które twierdzą, że posiadają takie relikwie, jeszcze dłuższa. Już w średniowieczu pojawiały się głosy wskazujące, że gdyby zebrać wszystkie drzazgi przypisywane krzyżowi, powstałby cały las. A jednak każdy z tych fragmentów funkcjonował i funkcjonuje jako osobny obiekt kultu. Podobnie wygląda sprawa z relikwiami świętych, których ciała były dzielone na dziesiątki, a czasem setki części.

W pewnym momencie Kościół musiał jednak to wszystko uporządkować i wypracował podział, który do dziś funkcjonuje jako oficjalna klasyfikacja. Podstawą jest podział na trzy stopnie. Relikwie pierwszego stopnia to najczystsza forma tego zjawiska, czyli części ciała świętego. Kości, czaszki, krew, czasem włosy, a w szczególnych przypadkach nawet całe ciała, które – jeśli wierzyć przekazom – nie uległy rozkładowi. To jest ten poziom, który działa najmocniej, bo nie pozostawia miejsca na interpretację, bo to nie symbol, ale kawałek człowieka.

Relikwie drugiego stopnia są krok dalej od biologii, choć nadal blisko. To przedmioty należące do świętego. Ubrania, narzędzia, rzeczy codziennego użytku. Niby mniej „mocne” niż kości, ale równie skuteczne jako obiekty kultu.

Najciekawiej robi się przy relikwiach trzeciego stopnia, które są już niemal czystą abstrakcją. To bowiem przedmioty, które zostały dotknięte do relikwii pierwszego stopnia. Tkanina przyłożona do kości, medalik przyłożony do relikwiarza czy skrawek materiału, który „miał kontakt”. To ten moment, w którym świętość zaczyna się multiplikować w sposób geometryczny, bo każdy kontakt generuje kolejny nośnik.

Dla każdego kość zmarłego

Jeżeli ktoś chciałby nanieść na mapę Polski miejsca posiadające relikwie, to dopiero wtedy zobaczyłby, jak naprawdę wygląda ten kraj. Na początek Gniezno, gdzie spoczywa św. Wojciech. Po jego śmierci w 997 r. ciało zostało wykupione przez Bolesława Chrobrego za równowartość złota, co pokazuje, że była to inwestycja. Taka, która zwróciła się wielokrotnie. Gniezno stało się centrum religijnym, miejscem zjazdu cesarza Ottona III, symbolem rodzącej się państwowości.

Ale ciało Wojciecha nie zostało w jednym miejscu. Zaczęło krążyć. Fragmenty trafiały do innych ośrodków, były przekazywane, dzielone, odzyskiwane. W efekcie dziś mamy sytuację, w której jego relikwie znajdują się w kilku krajach, a sama czaszka funkcjonuje w więcej niż jednej wersji.

Ten sam mechanizm widać w Krakowie, gdzie biskup Stanisław Szczepanowski jest jednym z najlepiej zachowanych świętych w Polsce. Jego ciało spoczywa w katedrze wawelskiej, ale jednocześnie istnieją osobne relikwiarze głowy i ręki. I nie są byle jakie – ręka w formie złotej dłoni, głowa zamknięta w ozdobnej kapsule – wszystko zaprojektowane tak, by eksponować.

W Częstochowie, gdzie główną rolę gra obraz Czarnej Madonny, relikwie św. Cecylii są dodatkiem, znaczącym, choć to drobne fragmenty kości.

Podobnie jest w Jarosławiu, gdzie franciszkanie przechowują relikwie św. Antoniego z Padwy. Tyle że św. Antoni jest jednym z najbardziej rozparcelowanych świętych. Jego relikwie znajdują się w setkach miejsc, a najbardziej znanym fragmentem jest język przechowywany w Padwie, który ponoć nie uległ rozkładowi. W Polsce mamy do czynienia głównie z fragmentami kości.

I teraz dochodzimy do momentu, w którym średniowiecze spotyka się ze współczesnością. Bo jeśli ktoś myślał, że takie praktyki należą do przeszłości, to wystarczy spojrzeć na przypadek Gianny Beretty Molli. To nie jest postać z legendy, tylko kobieta, która żyła w XX w., była lekarką, miała rodzinę, dokumentację medyczną i fotografie. A mimo to mechanizm działa tu identycznie jak tysiąc lat wcześniej. Po jej kanonizacji w 2004 r. rozpoczął się proces dystrybucji relikwii, który tylko w Polsce – według różnych zestawień – objął kilkadziesiąt, a prawdopodobnie ponad 100 kościołów. Fragmenty jej ciała, najczęściej w postaci drobnych cząstek kości lub tkanek, trafiły do parafii i innych sanktuariów.

I każdy taki fragment był witany z pełnym ceremoniałem. Procesja, msza, wprowadzenie relikwii, kazania, które tłumaczą znaczenie. Wszystko to powtarzane w dziesiątkach miejsc, co pokazuje, że

o ile w średniowieczu rozprzestrzenianie relikwii było procesem powolnym, o tyle dziś odbywa się w tempie, które bardziej przypomina logistykę dystrybucji niż spontaniczny rozwój kultu.

Jeszcze dalej idzie przypadek papieża Polaka. Tu nie mamy już nawet fragmentów kości, tylko krew pobraną w czasie choroby i zamkniętą w ampułkach za sprawą kardynała Dziwisza. Każda kropla to relikwia. Każda trafiła do innego miejsca i stała się obiektem kultu. Do kopalni soli w Wieliczce też.

Wieczne odpoczywanie?

Płock ma relikwie św. Zygmunta. Świdnica kostki ze św. Jana Nepomucena. W Świętej Lipce św. Mikołaj funkcjonuje w postaci drobnych fragmentów kości, bo wszak relikwia nie musi być duża, żeby działała. Za to w warszawskiej archikatedrze św. Jana jest cała kolekcja. Relikwie św. Krzysztofa są tylko jednym z wielu elementów większej kolekcji, która obejmuje szczątki różnych świętych, często zamknięte w niewielkich okrągłych relikwiarzach z szybą, przez którą widać fragment świętej kości.

We Wrocławiu, w katedrze św. Jana Chrzciciela, relikwie św. Elżbiety Węgierskiej oraz mniej znanego św. Maka pokazują jeszcze inny aspekt tego zjawiska, czyli hierarchię popularności. Elżbieta, jako postać znana i lubiana, jest wyeksponowana, podczas gdy Mak pozostaje w cieniu, choć jego relikwie mają dokładnie ten sam status teologiczny.

I wreszcie Chełmno i Wanda, gdzie wszystko to dochodzi do punktu, w którym historia przechodzi w legendę. Relikwie istnieją, kult istnieje, choć sama postać najprawdopodobniej nigdy nie istniała. Jeszcze ciekawiej robi się w Łodzi, gdzie w kościele św. Józefa przechowuje się relikwie św. Józefa, choć – jak wiadomo – żadnych szczątków tego świętego nigdy nie odnaleziono.

Peregrynowanie kraju szlakiem kościelnej makabreski może więc być pouczające. Z jednej bowiem strony mamy relikwie o wielowiekowej tradycji, a z drugiej – obserwujemy XXI-wieczny proces dołączania całkiem nowych. Relikwie współczesnych świętych zaczynają krążyć natychmiast po ich kanonizacji, trafiają do kolejnych kościołów, parafii i sanktuariów.

Bo mechanizm, który działał w średniowieczu, działa i dziś. Zmieniły się narzędzia, tempo i skala, ale zasada pozostała ta sama. Relikwia ma przyciągać, budować znaczenie miejsca i dawać mnóstwo pieniędzy.

TOMASZ BOROWIECKI

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Katolicyzm wydrążony

Polscy socjologowie i psychologowie społeczni boją się Kościoła

Co to właściwie jest polski katolicyzm? Bo choć wciąż się o nim mówi, to zupełnie nie wiadomo, co on właściwie znaczy. Na papierze wygląda okazale, a w deklaracjach wręcz monumentalnie. W statystykach przynależności do Kościoła nadal można znaleźć liczby, od których biskupom winny lewitować kolorowe berety. Tyle że wystarczy odejść od deklaracji „jestem katolikiem” do popatrzenia co z tego wynika, aby ten religijno-narodowy monumentalizm zaczął się rozsypywać. I właśnie dlatego polski katolicyzm bada się nader ostrożnie, delikatnie, tak aby broń Boże nie zdrapać zbyt dużo religijnego lakieru. Bo gdyby ktoś rzeczywiście poskrobał głębiej, mogłoby się okazać, że pod spodem nie ma prawie nic.

Wiara dla ankietera

Widać to nawet w tych badaniach, które zrobiono. Między 1992 a 2021 r. odsetek Polaków deklarujących wiarę w Boga spadł z 94 proc. do 87,4 proc. Gdyby chodziło o jakąkolwiek inną instytucję niż Kościół, taki zjazd uznano by za proces niepokojący, a może wręcz za początek katastrofy. Tymczasem w odniesieniu do katolicyzmu opowiada się o tym z tonem, jakbyśmy mieli do czynienia jedynie z lekkim przeciągiem. Jeszcze wyraźniej widać to w praktykach religijnych. Na początku lat 90. regularnie, czyli co najmniej raz w tygodniu, praktykowało 69,5 proc. badanych. Dziś to już mniej niż jedna trzecia wierzących. W ciągu trzech dekad z polskiego katolicyzmu wyparował kawał społeczeństwa. I nie jest to bynajmniej proces zakończony. Dotychczas tempo zmian hamował kulturowy wzorzec przekazu religii i pośmiertna radiacja pontyfikatu JP2, ale to se ne vrati.

Bo w danych dotyczących młodych kończy się opowieść o „narodzie wiernym od tysiąca lat”. W grupie 18–24 lata w 1992 r. udział w obrzędach deklarowało 69 proc. młodych. Dziś już tylko 23 proc. Jednocześnie za wierzących uważa się w tej grupie 71 proc., podczas gdy trzy dekady wcześniej było to 93 proc. Jeszcze mocniej brzmi liczba mówiąca, że 36 proc. ludzi w wieku 18–24 lata nie uczęszcza do kościoła w ogóle. Czyli ponad jedna trzecia młodego pokolenia już nawet nie udaje, że uczestniczy w rytuale wspólnoty. Jeśli spojrzeć na grupę 25–34 lata, to regularnie praktykuje 26 proc., podczas gdy dawniej było to 62 proc. To nie jest żadna chwilowa fanaberia, tylko odrywanie się od instytucji całych roczników. Nawet w grupie powyżej 65. roku życia poziom praktyk też spadł, ale z 72,8 proc. do 56 proc., więc nadal pozostaje relatywnie wysoki. Katolicyzm w Polsce coraz wyraźniej staje się domeną ludzi starszych, a nie wspólnotą obejmującą wszystkie pokolenia. I właśnie to jest dla Kościoła groźne najbardziej, bo bez młodych, mimo całego swego majątku, nie przeżyje.

No i jest jeszcze pytanie, którego nikt nie chce w Polsce zadać: ilu ludzi, którzy określają się jako katolicy, traktuje swą katolickość jako realne zobowiązanie, a ilu jako etykietę? Bo jeśli zajrzeć do sfery seksualnej, to robi się niemal komicznie. CBOS pokazało, że 40 proc. badanych katolików dopuszcza wspólne życie bez ślubu. Tyle samo dopuszcza seks przedmałżeński, zaś 41 proc. akceptuje stosowanie antykoncepcji. 33 proc. akceptuje rozwody, a 24 proc. nie widzi niczego złego w homoseksualności. Krótko mówiąc, w dziedzinie, w której Kościół przez dziesięciolecia lubił występować jako strażnik łóżka, czterech na 10 katolików mówi mu, że może sobie katolickie nauczanie oprawić w ramkę i powiesić w krypcie.

Jeszcze zabawniej robi się wtedy, gdy wśród ludzi twierdzących, że moralność katolicka jest „jedyną słuszną i wystarczającą”, aż 27 proc. usprawiedliwia seks przedmałżeński, 26 proc. akceptuje konkubinat i antykoncepcję, a 25 proc. – rozwody. Ba, największe przywiązanie do rygorystycznej etyki seksualnej deklarują osoby starsze. Czyli te, dla których – mówiąc delikatnie – aktywność seksualna nie jest już pierwszoplanowym zajęciem. Trudno o bardziej wymowny paradoks.

Do tego dochodzi jeszcze jedno: aż 67 proc. Polaków negatywnie ocenia próby wprowadzania rygorystycznej katolickiej etyki seksualnej do szkół. Co oznacza, że ludzie nie tylko sami nie chcą żyć według tych zasad, ale też nie chcą, by były one narzucane innym.

Katolik z internetu

Kościół oczywiście tłumaczy to bombardowaniem sprzecznymi wizjami życia, „globalną wioską”, materializmem, hedonizmem i „dyktaturą tymczasowości”. Mówi o rewolucji seksualnej trwającej od lat 60. XX w. i o „nowej fali transgenderowej”, a jako odtrutkę wskazuje teologię ciała Jana Pawła II, która miałaby wręcz uratować zachodnią cywilizację przed zagładą. A że brzmi to jak opowieść o remoncie dachu, gdy ludzie już dawno wyprowadzili się z budynku…

Bo nie jest tak, że polscy katolicy nie zrozumieli nauczania Kościoła. Znaczna część z nich po prostu uznała, że w sprawach łóżkowych ma to gdzieś – to kwestia obojętności wobec zakazu. I jeśli ktoś mówi o moralności katolickiej jako o jedy-

Rys. TOMASZ WIATER

eprasa.pl 1a9d38bf24

Nagłaśnianie przez uciszanie – wersja kościelna

Beniaminek prawicy

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Wróciła w polskim Kościele kat. praktyka kneblowania. Nie chodzi jednak o zabawy na plebaniach diecezji sosnowieckiej, ale o starą dobrą tradycję uciszania krnąbrnych księży. Z tym że czasy się zmieniają, więc i wektor cenzury się odwrócił. Inkwizycja stała się bardziej nowoczesna oraz uśmiechnięta. I nieskuteczna.

Sezon na Rysia

Jak zwykle ostatnio, w centrum kościelnych kontrowersji stoi kard. Grzegorz Ryś. Widocznie tak to już jest, że biskup krakowski może zostać albo papieżem, albo „skandalistą". Nawet abepe Marek Jędraszewski ostrożniej dawkował swoje aferki, zdając sobie sprawę, że wszystko w nadmiarze się przejada. Ryś jest niestrudzony w stymulowaniu prawicowych umysłów i zbieraniu od nich cięgów. Chyba to lubi. Na krakowskich włościach jest panem zaledwie ponad pół roku, a już zdążył rozgrzać prawicowy i katolicki komentariat, dając pożywkę także „swoim", którzy mają go niemalże za męczennika tzw. Kościoła otwartego.

Były czasy, że nakaz milczenia dostawali koledzy kard. Rysia, jak ks. Adam Boniecki, emerytowany naczelny „Tygodnika Powszechnego". Bonieckiego kneblowano dwa razy, m.in. za krytykę biskupów i wsparcie dla osób LGBT. Teraz właśnie za wsparcie tęczowego środowiska i przymilanie się Żydom krytykowany jest przez prawicę kard. Ryś. Ale dziś to on rozdaje karty. Choć nad większością krytykantów purpurat nie ma żadnej kontroli, to gdy szczeka na niego ksiądz, pojawiają się pewne możliwości.

Na głównego adwersarza metropolity krakowskiego wyrósł ostatnio ks. Beniamin Sęktas z diecezji drohiczyńskiej.

Wierszoklecha

Ks. Sęktas to młody duchowny, zaledwie sześć lat po święceniach, a już dorobił się grupy wiernych fanów. Dotychczas – jeżeli w ogóle – był znany z tego, że pisze poezję. Nowym ks. Twardowskim raczej nie zostanie, a pisanie wierszy do szuflady widocznie mu nie leży. Odkrył zatem w sobie talent polemisty i szansę na objęcie funkcji kapelana osieroconych przez Jędraszewskiego prawaków. Nobel mu nie grozi, ale tytuł Człowieka Roku „Gazety Polskiej" jest w zasięgu ręki.

Ks. Beniamin pisze potoczyście, jak na poetę przystało. Mimo stosunkowo młodego wieku wyraża się jak trybun prawdziwych katolików, w czym zresztą utwierdzają go jego wielbiciele. Sojusznik w sutannie to dla wrogów Rysia nie lada gratka, bo jednak rugać kardynała nie każdy ma odwagę. Zwłaszcza młodzi księża stawiają na pobożne gadanie o niczym, bez angażowania się w politykę. Choć z badań wynikało, że młodzi polscy duchowni będą na maksa prawicowi, konfederaccy wręcz, to raczej nie manifestują zbyt głośno swoich poglądów, żeby się nikomu nie narazić. Tymczasem ks. Beniamin pierdoli konwenanse i z poety przeistacza się w wojownika.

Apelmistrz

Rysia ma na celowniku od dłuższego czasu. To rozsądna strategia, bo kąsanie najbardziej rozpoznawalnego hierarchy w Polsce musi przecież przynieść rozgłos. Ks. Sęktas wali w metropolitę krakowskiego personalnie, zarzucając mu bratanie się z ludźmi, którzy chcą zguby Kościoła. Już w grudniu ubiegłego roku napisał do niego list otwarty, w którym wzywał, aby nie zajmował miejsca Jędraszewskiego na tronie biskupa krakowskiego, ale dobrowolnie zrzekł się (jeszcze nieobjętego) urzędu.

> „Decyzja ta wzbudziła w Polsce liczne i różne reakcje, do których pragnę dołączyć i swoją. Wyrażam swoją wątpliwość i obawę dotyczącą skutków nominacji Księdza Kardynała na arcybiskupa metropolitę krakowskiego. Apeluję, by Eminencja zaniechał pochopnego przyjmowania tego urzędu"

– napisał pisał butny księżulo, o którego istnieniu Ryś pewnie nie miał pojęcia. I dodał pouczająco: „Do wyznaczonej daty ingresu pozostaje jeszcze trochę czasu. Ośmielam się zatem wystosować poniższy apel w poczuciu odpowiedzialności za Kościół Chrystusowy, którego zadaniem jest rozeznawać znaki czasu i na nie odpowiadać"…

Dalej Sęktas zarzucał eminencji, że zadaje się z sodomitami z Fundacji Wiara i Tęcza, Żydami i ich poplecznikami oraz że generalnie rozmywa wiarę katolicką. Zażarło – list rozszedł się w sieci, a ks. Beniamin poszedł za ciosem.

Gdy polscy biskupi z inspiracji krakowskiego kardynała wezwali w liście do odwiedzenia synagog w 40. rocznicę uczynienia tegoż przez JP2, ks. Beniamin znowu nie wytrzymał. Wyspecjalizował się już w pisaniu listów otwartych i apeli. Tym razem wysmarował dramatyczny „Apel polskiego kapłana do Polaków". Wezwał w nim, by kto w Boga wierzy, nie dał się omamić żydowskiej propagandzie serwowanej przez Rysia. „Łatwo domyśleć się, kim jest pomysłodawca tego listu: kardynał Grzegorz Ryś, znany sympatyk środowisk żydowskich i – jak można wnioskować – wyraziciel ich interesów. Za swoje zaangażowanie w dialog żydowski wielokrotnie był nagradzany" – demaskował poeta, trybun, detektyw. Miarka się przebrała. Zareagowała kuria drohiczyńska.

Cisza przed burzą

Grzegorz Ryś nie jest przełożonym ks. Sęktasa, sprawą musiał się zająć bepe Piotr Sawczuk z Drohiczyna. Jego rzecznik prasowy poinformował, że wywody młodego gniewnego są „wyłącznie prywatnymi opiniami autora, na których wyrażanie nie miał zgody", a „na spotkaniu z biskupem drohiczyńskim został on przez niego upomniany i otrzymał zakaz publikowania podobnych treści w przyszłości". Komunikat rozszedł się szerzej niż listy i apele „polskiego kapłana" – którym to tytułem lubi się określać Sęktas. Uciszając go, kuria drohiczyńska zrobiła mu promocję, na którą zapewne liczył.

Wesoła twórczość ks. Beniamina nadal wisi w sieci i ktokolwiek zechce, może ją łatwo znaleźć. Czasy, gdy uciszanie księży zakazem wypowiedzi dla mediów było skuteczne, bezpowrotnie minęły. Dzięki mediom społecznościowym z niespełnionego grafomana urósł do rangi niezłomnego głosiciela zakazanej prawdy, którego ścigają zaprzedani diabłu nowoczesności hierarchowie. Na (chwilowe) odchodne ks. Sęktas podziękował katolickim dziennikarzom za „nagłośnienie dotąd przemilczanych treści apeli i listów" – zdając sobie sprawę, ile popularności przysporzyło mu oświadczenie kurii. Biskupowi Sawczukowi gratulujemy zmysłu robienia dokładnie tego, na co jego niesforny podwładny liczył.

Ubolewać możemy jedynie, że ks. Beniamin nie będzie mógł się wypowiedzieć nt. planowanego spotkania kard. Rysia z Péterem Magyarem w Krakowie lub jego wywiadu u Rymanowskiego, którym też dał pożywkę adwersarzom. Nie mamy jednak wątpliwości, że Sęktas jeszcze wróci. Kto raz zasmakował sławy, ten nie wytrzyma na posadzie wiejskiego wikarego.

MATT KOBOSKO

---

nej słusznej, po czym akceptuje rozwód czy antykoncepcję, to nie dlatego, że nie pojął subtelności encyklik. On żyje po swojemu, a deklarację wiary zostawia dla ankietera.

Podejrzanie mało jest w Polsce badań wchodzących w codzienną praktykę religijną. Owszem, wiemy, ilu ludzi twierdzi, że należy do Kościoła, ilu deklaruje wiarę i ilu opowiada, że czasem chodzi na nabożeństwo. Ale nie wiemy, ilu Polaków rzeczywiście pości w zwykły piątek, a nie tylko w Wielki, gdy telewizje przypominają o poście, a teściowa może źle spojrzeć na schabowego. Nie wiemy, ilu naprawdę codziennie odmawia paciorek, a ilu jedynie pamięta z dzieciństwa, że taki zwyczaj istniał. Nie wiemy, ilu nosi medalik dlatego, że są praktykującymi katolikami, a ilu dlatego, że dostali go na komunię i szkoda wyrzucić. Takich danych nie znajdziemy w poważnym obiegu. Zamiast tego portale nieustannie publikują teksty pod tytułem „czy katolik musi w ten dzień", „czy wolno zjeść to i to", „czy brak mszy jest grzechem", „czy w święto można pracować". I samo istnienie tej publicystyki jest już odpowiedzią. Gdyby katolickie życie codzienne było silnym, utrwalonym nawykiem, nie trzeba by co tydzień tłumaczyć milionom ludzi, co wolno katolikowi zrobić z zupą, odkurzaczem, seksem, zakupami czy kiełbasą. Te instrukcje obsługi nie świadczą o sile religii, ale o jej rozpadzie na poziomie podstawowym.

Gdy zaś wyjdzie się poza sferę osobistą i spojrzy na obecność religii w przestrzeni publicznej, wychodzi jeszcze ciekawsza mieszanka. Bo Polacy wciąż w dużej mierze akceptują symbole religijne. Blisko 90 proc. nie razi krzyż w budynku publicznym. Co najmniej 70 proc. nie ma nic przeciwko religijnemu charakterowi przysięgi wojskowej, lekcjom religii w szkołach, święceniu miejsc użyteczności publicznej i obecności księży na uroczystościach państwowych. Ale gdy rzecz przechodzi od wiszącego symbolu do żywego księdza mówiącego ludziom, jak mają głosować, czar pryska. 81 proc. badanych nie akceptuje duchownych instruujących wyborców, a 62 proc. razi zajmowanie przez Kościół stanowiska wobec ustaw uchwalanych przez sejm. Zatem krzyż jako element dekoracji czy tradycji jeszcze przechodzi, ale ksiądz jako polityczny nadzorca już nie. To bardzo wiele mówi o współczesnej polskiej religijności.

> **Ludzie godzą się na sakralny pejzaż. Nie chcą już natomiast sakralnego zarządzania swoim życiem obywatelskim.**

Poszczący weganie

Kościół jest passé nawet w obszarach, gdzie religię trzyma jeszcze obyczaj. Wielkanoc jest wszak dla 65 proc. Polaków przede wszystkim świętem rodzinnym, dla 41 proc. miłą tradycją, a tylko dla 39 proc. przeżyciem religijnym. Owszem, 89 proc. deklaruje, że dzieli się święconym jajkiem, 86 proc. święci pokarmy, 72 proc. pości w Wielki Piątek, 53 proc. praktykuje spowiedź wielkanocną, 49 proc. Środę Popielcową, a 41 proc. rekolekcje. Ale i tu widać, że w Polsce utrzymują się przede wszystkim obrzędy wspólnotowe, rodzinne i symboliczne, a nie religia. Bo aż 27 proc. ludzi deklarujących, iż w ogóle nie chodzi do kościoła, twierdzi zarazem, że zachowuje post w Wielki Piątek. Oto cała istota katolicyzmu z tektury.

Dziś księdza po kolędzie przyjmuje mniej niż połowa Polaków. W małych ośrodkach do 20 tys. mieszkańców odsetek ten jeszcze wynosi 59,3 proc., a na wsi 59 proc. Ale w miastach powyżej 500 tys. mieszkańców ksiądz może liczyć na wpuszczenie do mieszkania jedynie w 22,9 proc. przypadków. Polska dzieli się więc na tę, która jeszcze księdza wpuszcza, i tę, która już dawno przestała.

Socjologowie oczywiście wiedzą, że „same deklaracje wiary i praktyk dają tylko częściowy obraz religijności". Gdy pytać o treść wiary, okazuje się, że duża część Polaków to „wyznawcy selektywnego katolicyzmu". A skoro tak, to dlaczego wciąż tak niewiele jest badań, które weryfikowałyby codzienną konsekwencję tej wiary? Ilu ludzi modli się rano i wieczorem? Ilu zna katechizm poza wersją szkolną? Ilu spowiada się nie z rozpędu świątecznego? Ilu nie współżyje przed ślubem z pobudek religijnych? Ilu naprawdę odrzuca antykoncepcję? Ilu stosuje się do nauczania Kościoła w sprawach rozwodu, homoseksualności, udziału we mszy, piątkowego postu, wychowania dzieci i życia rodzinnego? Odpowiedzi nie znamy. Bo gdyby to zbadać, okazałoby się zapewne, że polska katolickość jest pustym balonem wypełnionym nic nieznaczącymi deklaracjami.

W Warszawie na religię chodzi już tylko co drugie dziecko. W diecezjach południowo-wschodnich wskaźnik sięga 95 proc., więc terytorialne pęknięcie jest aż nadto widoczne. Mamy zatem Polskę, w której jedne regiony żyją jeszcze w modelu późnojanopawłowym, inne zaś już weszły w epokę porzucania kościelnych instytucji. Do tego dochodzi malejące uczestnictwo w sakramentach. Mniej chrztów, mniej ślubów kościelnych, mniej komunii, prawdziwe tąpnięcie w bierzmowaniach. Każde kolejne ogniwo tradycyjnego łańcucha socjalizacji religijnej słabnie.

Polski katolicyzm nie znika, on się wydrąża. Od zewnątrz jeszcze stoi, ma symbole, święta, przywileje, finansowanie, przyzwyczajenia i mnóstwo ludzi, którzy wpiszą „katolik" w ankiecie. Ale w środku jest pusto. Jednak naukowcy i media wciąż boją się to powiedzieć.

TADEUSZ JASIŃSKI

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ *W XXI w. medycyna stoi na straży życia i jest po to, aby temu życiu służyć, i nie można tłumaczyć innymi względami, że coś jest nie tak albo możemy zrobić to inaczej. Bronić trzeba każdego.* ***Lekarz nie może być pozbawiony klauzuli sumienia. To jest jakieś wypaczenie. Musimy walczyć o klauzulę sumienia.***

lek. med. Mirosław Pietrzak, Katolickie Stowarzyszenie Lekarzy Polskich, AKSiM, Toruń, 7 maja

■ *Potrzebujemy Kościoła jako mocnego głosu w obronie wartości i rodziny.* ***Potrzebujemy także, aby z ambon wybrzmiewała odważna obrona dzieci – zarówno w wymiarze ich wychowania moralnego, jak i odpowiedzialnej edukacji intelektualnej.***

Teresa Tesarz, Społeczny Ruch Odpowiedzialni Rodzice, Opoka.org.pl, 7 maja

■ *W naszej Ojczyźnie dzieje się wiele dobra (…).* ***Musimy mieć też świadomość, że rozwój materialny niesie za sobą także zagrożenia i postawy kulturowe, społeczne, filozoficzne czy moralne – nierzadko oderwane od Boga i wiary.*** *Coraz wyraźniej widzimy, że wraz ze wzrostem dobrobytu słabnie życie duchowe. Wielu ludzi nie odczuwa już potrzeby praktykowania wiary. (…)* ***Kiedy wiara słabnie i traci fundament w Chrystusie, człowiek łatwo ulega złudzeniom. Daje się porwać ideologiom, obietnicom łatwego szczęścia, życia bez wymagań i zasad, zwłaszcza moralnych. Przyjmuje wizje szczęścia podsuwane przez media czy jakieś kultury, może i atrakcyjne i proste do przyjęcia, ale w rzeczywistości niedające prawdziwego szczęścia.***

abp Tadeusz Wojda, Jasna Góra, homilia, 2 maja

■ *Do wspólnoty państw europejskich należymy od wieków.* ***Jeśli Europa ma przetrwać, to musi wrócić do fundamentów, na których została zbudowana: prawdy, Dekalogu i Ewangelii. Na tę chwilę Unia Europejska zmierza ku zagładzie, której symbolem są aborcja, eutanazja i niszczenie rodziny.***

ks. Janusz Chyła, X, 2 maja

■ *To, co robi pani Barbara Nowacka, to plan działania ściśle określony lewacką ideologią. Pani Nowacka z premedytacją i cynizmem cały czas niszczy i uderza we wszystkich, którzy ośmielają się mieć inne niż ona zdanie (…).* ***Nazwanie ks. abp. Marka Jędraszewskiego hejterem w sutannie jest absolutnie obraźliwe i nieuzasadnione, ponieważ ksiądz arcybiskup za każdym razem, kiedy staje w obronie młodych Polaków, ma argumenty i tymi argumentami się posługuje. Sięga do wiedzy i mądrości filozofów oraz naukowców. Natomiast Nowacka ma za sobą tylko i wyłącznie lewacką ideologię i się nią posługuje, mając na celu zniszczenie drugiego człowieka.***

Barbara Nowak, PiS, Radio Maryja, 5 maja

■ *„Pierwszy katolik" wczoraj był w Watykanie i – jak sam powiedział – na wszystko z Ojcem Świętym miał podobne spojrzenie…* ***Ciekawe, jak wytłumaczył prokuratorskie szykany wobec Daniela Obajtka, który wycofał ze sprzedaży na stacjach Orlen pismo z obrazoburczą okładką z wizerunkiem św. Jana Pawła II… Hipokryzja do entej potęgi! Polityka „opiłowywania katolików".***

Jarosław Kaczyński, X, 8 maja

■ *Gdy patrzymy na to, co się dzisiaj dzieje w Polsce, i świadomi tego, dziękując, prosimy o dar mądrości dla pana prezydenta, aby to, co pan czyni, było dziełem Ducha Świętego, a zapewniam, że będzie, gdy pan prezydent będzie współpracował ze św. Andrzejem.* ***Oby pan minister Przemysław Czarnek, obecny tu, powiedział po tych wyborach w mediach: „Św. Andrzej Bobola wyprosił kolejny cud nad Wisłą".***

ks. Józef Niżnik, sanktuarium św. Andrzeja Boboli, Strachocin, homilia, 8 maja

Rys. OBYWATEL JANEK

eprasa.pl 1a9d38bf24

Zrobieni w kartofla

Co za dużo, to i świnia nie chce.

Ponoć polski rynek ziemniaka się zapadł. Tak przynajmniej płaczą w mediach jego hodowcy. To zaś jest nieprawda, bo polski rynek ziemniaka jest zapadnięty od przynajmniej ćwierćwiecza. To, co się dzieje teraz, to kolejny epizod degrengolady polskiego kartofla. Mamy wszak produkcję sięgającą 6–7 mln ton pyr rocznie i ceny skupu spadające do 15–20 groszy za kilogram. Mamy też import ziemniaków z zagranicy, w tym z Niemiec, gdzie ceny skupu są wyższe, a mimo to ich towar trafia na polskie półki w cenach nawet niższych od rodzimych pyr.

Zaziemniaczeni

Polski plantator produkuje ziemniaka za 40–60 groszy za kilogram i sprzedaje go za 20 groszy, dokładając do każdego kilograma nawet 30–40 groszy. Na polskim rynku zalega – jak szacują branżowe źródła – kilkaset tysięcy ton niesprzedanych ziemniaków, a jednocześnie wjeżdżają kolejne transporty zza Odry.

Wyjaśnienie tego paradoksu jest proste i nader brutalne dla polskich producentów. Otóż niemieckie ziemniaki trafiają do Polski w ramach wcześniej zawartych umów, do konkretnych odbiorców – sieci handlowych czy przetwórni – które wymagają określonych parametrów: kalibru, odmiany, jakości przechowywania. Niemiecki rolnik, działający w większych gospodarstwach i często w ramach silniejszych grup producenckich, jest w stanie dostarczyć towar dokładnie taki, jaki zamówił odbiorca, i dokładnie wtedy, kiedy go potrzebuje. Polski rolnik zaś produkuje dużo, ale nie zawsze to, czego w danym momencie oczekuje rynek. Efekt jest taki, że to jego ziemniaki zalegają w magazynach.

Różnice w cenach dodatkowo podkręcają emocje. Bo jeśli polski rolnik dostaje 20 groszy za kilogram, a w sklepie ziemniaki kosztują 2–4 zł, to oznacza marżę rzędu 1000 proc. lub więcej. To dlatego ziemniak importowany, droższy na starcie, jest w stanie wejść na półkę i konkurować. W handlu bowiem liczy się ciągłość dostaw i standaryzacja, a nie tylko cena zakupu u producenta.

Dla rolników sytuacja ta jest nie do zaakceptowania. „Mamy pełne magazyny i nikt nie chce kupić, a w sklepach leżą ziemniaki z zagranicy" – to powtarzający się motyw. Niby fakt, bo jeśli gospodarstwo ma 500, 1000 czy 2000 ton niesprzedanych ziemniaków, to przy cenie 20 groszy za kilogram mówimy o przychodzie rzędu 100–400 tys. zł. Problem w tym, że koszt produkcji tej samej ilości towaru mógł wynieść 200–800 tys. zł. Różnica to czysta strata.

Żeby ten stan rzeczy zmienić, polscy plantatorzy żądają od rządu dopłat, a od Polaków masowego rzucenia się do kupowania polskiego ziemniaka. Oczywiście pod hasłem, że polskie ziemniaki są najlepsze na świecie. Hasłem mocno nieprawdziwym, gdyby bowiem było inaczej, Polska wiodłaby prym tak w produkcji, jak i w eksporcie bulw. Tymczasem wśród 15 największych na świecie eksporterów surowych, nieprzetworzonych kartofli Polski nie ma. Jest za to pustynny Egipt. I Izrael. A nawet niewielki Cypr. Ale w rankingu krajów o największym eksporcie chipsów i frytek jesteśmy już na siódmym miejscu. Dlaczego jednak sprzedajemy w świat ziemniaki poddane obróbce, a ze sprzedażą zwykłych nam nie idzie?

Pierścienie kartofla

Odpowiedź na to pytanie jest równie prosta, co szokująca. Polskie ziemniaki – mimo że unijne – wciąż są bowiem na czarnej liście. Od przystąpienia Polski do Unii Europejskiej obowiązuje coś, co nosi nazwę kwarantanny na polskie ziemniaki. Sprowadza się zaś do tego, że nie wolno eksportować polskich ziemniaków na takich samych zasadach, jak mogą to czynić inne należące do Unii kraje. Czyli bez dodatkowej kontroli sanitarnej przeprowadzonej na każdej partii pyr. Powodem jest występowanie na terenie Rzeczpospolitej bakterii *Clavibacter michiganensis ssp. sepedonicus* (CMS) powodującej bakteriozę pierścieniową ziemniaka. Bakteria ta w Unii Europejskiej podlega obowiązkowemu zwalczaniu.

Łacińska nazwa bakterii oznacza „powodująca gnicie". Jest dla człowieka niegroźna, chyba że zeżre on zgniłego ziemniaka. Co proste nie jest, bo surowych kartofli się nie je. A nawet gdyby ktoś próbował, to odstręczy go fakt, że po ściśnięciu zakażonej pyry nastąpi „wyciek kremowej, serowatej i bezwonnej masy zgniłych komórek tkanki ziemniaka wraz z licznymi komórkami bakterii". A przy okazji dojdzie do „rozwarstwienia się bulwy na część zewnętrzną i rdzeń". Tak jednak się dzieje w ostatniej fazie choroby bulwy. Zanim do niej dojdzie, wcześniej można, przekroiwszy kartofla, zobaczyć „różnej długości plamki i układające się pierścieniowo przebarwienia, od szklistych do kremowo-żółtych".

Gdyby jednak ktoś pragnął zetknąć się z bakteriozą pierścieniową, a nie chciał przeprowadzać sekcji kartofla, to wystarczy, że przejedzie się w plener. I jak zobaczy, że pole porośnięte ziemniakami wygląda na wymierające, brzegi liści zwijają się, bledną, więdną, usychają i zwisają na łodygach, które są barwy matowo-jasnozielonej w żółte cętki, to nie będzie to skutek suszy, ale właśnie CMS.

Największe spustoszenie czyni choroba w magazynach, piwnicach i lodówkach. Zarażone nią ziemniaki po prostu błyskawicznie gniją, co dziwne nie jest, bo bakteria rozprzestrzenia się z chorej bulwy na tę obok. I wystarczy, że partia zdrowych ziemniaków wyląduje w skrzyni, kontenerze czy worku,w którym były ziemniaki zakażone, żeby paskudztwo złapała. Jej chytrości dowodzi nawet fakt, że potrafiła się przedostać do ziemniaków ponoć przebadanych państwowo i sprzedawanych przez certyfikowane państwowe jednostki wsparcia rolnictwa.

Ale dla starszego Polaka przyzwyczajonego, że kartofle zawsze gniły, to nic dziwnego. Za komuny, gdy w Polsce wykopywało się 50 mln ton ziemniaków rocznie, CMS-em był zarażony nawet co trzeci kartofel. Gdy wstępowaliśmy do Unii, bakteriozą było dotkniętych 23 proc. pyr. Dziś Ministerstwo Rolnictwa chwali się, że bakterioza pierścieniowa występuje ledwie w 4 proc. ziemniaków. Jest jej cztery razy więcej od unijnej średniej. Ale i to nieprawda.

Badaniu fitosanitarnemu na CMS podlegają u nas kartofle szykowane na eksport. Czyli takie, których producenci są pewni jakości. Ta grupa to margines plantatorów ziemniaka w Polsce. Reszta, znając kartoflane obostrzenia unijne, nawet nie stara się o eksport. Ronicy wiedzą, że ich plon musiałby zaliczyć specjalne badania, których przejść nie sposób. Są świadomi, że to zarówno skomplikowane, jak i ryzykowne. Bo jeśli badania wykażą w partii kartofli nawet śladowe ilości bakteriozy, to cały plon idzie do utylizacji, a na swoim polu przez wiele lat rolnik nie będzie miał prawa czegokolwiek zasadzić.

Rolnicy wiedzą też, że jak chcą sprzedać efekt wykopków działającym w Polsce sieciom, to pies z kulawą nogą żadnymi bakteriami się nie zainteresuje. Efektem tego wszystkiego jest, że bakterioza ma się dobrze, choć produkujemy kilkakrotnie mniej ziemniaków niż kiedyś. W tamtym roku było ich niemal 7 mln ton wykopanych z 220–225 tys. ha. Jeszcze 50 lat temu ziemniaki uprawialiśmy w Polsce na 3 mln hektarów i zbieraliśmy ich ok. 50 mln ton rocznie.

Zdrowsi chemią

Państwo polskie od zawsze pieściło się z plantatorami zwanymi dla niepoznaki rolnikami. Dlatego nawet nie próbuje narzucić im czegokolwiek obligatoryjnie – ono tylko zachęca. Plantatorzy natomiast cały czas państwo polskie cisną. Tyle że nie o kontrole, rekompensaty dla pechowców i zdrowe sadzeniaki, lecz o to, żeby rząd zmusił Brukselę do zdjęcia z Polski fitosanitarnych obostrzeń.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Oczywiście, ani media wciskające nam kit o zdrowej polskiej żywności, ani tym bardziej plantatorzy nie wspominają o takim drobiazgu, że już od lat w Polsce dominuje przemysłowy, czyli intensywny system produkcji żywności. Dwa filary tego systemu to intensywne uprawy monokulturowe wspomagane przez nawozy sztuczne i pestycydy oraz fermy przemysłowe zasilane przez antybiotyki i hormony wzrostu. A na dodatek

w Polsce średnie zużycie nawozów sztucznych i pestycydów na hektar jest odpowiednio trzykrotnie i dwukrotnie wyższe niż średnia światowa. To powoduje, że płody rolne z upraw monokulturowych są ubogie w ważne dla zdrowia ludzi i zwierząt składniki odżywcze,

jak np. mikroelementy, witaminy i antyoksydanty, ale zasobne w chemiczne środki produkcji. Z kolei chów przemysłowy oparty na ubogiej paszy z upraw monokulturowych wymaga stosowania antybiotyków i hormonów wzrostu, aby zapewnić szybki przyrost masy mięsnej i zapobieganie zdychaniu ze względu na częste występowanie chorób. Pozostałe w mięsie antybiotyki powodują lekooporność i zdaniem wielu naukowców za 25 lat przestaną być skuteczne w leczeniu ludzi. W Polsce w hodowli zwierząt rocznie zużywa się 800 t antybiotyków, czyli 200 mg/kg mięsa, tj. sześć razy więcej niż we Francji i pięć razy więcej niż w Czechach.

Tak przyprawione płody rolne trafiają do przetwórstwa, gdzie wykorzystuje się cały arsenał środków chemicznych, takich jak syntetyczne barwniki, sztuczne aromaty, wzmacniacze smaku, utwardzone tłuszcze, konserwanty i inne dodatki. Następnie żywność pakowana jest w tworzywa sztuczne, z których do produktów przenikają m.in. mikro- i nanoplastiki oraz ftalany. Tak powstała żywność wysokoprzetworzona, bogata w cukier, sól, tłuszcze trans i sztuczne dodatki, a uboga w błonnik, stała się podstawą diety Polaków. Według Najwyższej Izby Kontroli w Polsce zjadamy ponad 70 proc. takiej żywności, a średnia w UE to prawie 50 proc.

Robienie dobrze wsi daje więc co prawda władzy głosy wyborcze, ale rozwala w drobny mak niegdysiejszą opowieść, że polska żywność jest zdrowa i bezpieczna. Bo gdyby miała być, to nadwyżkowe polskie ziemniaki zjadałyby hodowane w Polsce świnie. Ale ich hodowcy wiedzą o naszych ziemniakach widać na tyle więcej, że miast nimi wolą karmić tuczniki paszą z importu.

TADEUSZ JASIŃSKI

Życie w dobrobycie

● Ponad jedna trzecia dorosłych Polaków nie chodzi do dentysty dlatego, że nie ma za co. Dokładnie zaś ma tak 36,9 proc. obywateli kraju, który próbuje uchodzić za jedną z 20 największych gospodarek świata. W tej samej rzeczywistości 49,7 proc. deklaruje, że takiego problemu nie ma, a 13,4 proc. nawet nie pamięta, czy kiedykolwiek musiało z leczenia zrezygnować. Wśród tych, których nie stać na dentystę, dominują młodzi w wieku 18–34 lata, którzy dopiero wchodzą w dorosłość, oraz osoby powyżej 65. roku życia. Jedni żyją w niestabilności finansowej, drudzy w stabilności, która jest zbyt niska, by pokryć rosnące koszty leczenia. W obu przypadkach efekt jest ten sam – dentysta przegrywa z rachunkami. Pacjenci odkładają leczenie albo dzielą je na etapy. Choroby jamy ustnej mają charakter postępujący, więc odroczenie decyzji niemal zawsze oznacza wzrost kosztów. Pacjent najpierw oszczędza, potem płaci więcej, a na końcu często i tak musi wydać kwotę przekraczającą jego możliwości finansowe. Widać to szczególnie wyraźnie w strukturze rezygnacji z konkretnych zabiegów. Najczęściej odkładane są te najdroższe, czyli implantologia, z której rezygnuje 43,6 proc. badanych, ortodoncja z wynikiem 39,4 proc. oraz protetyka, której unika 38,9 proc. pacjentów. Ceny implantów czy kompleksowego leczenia protetycznego sięgają nawet kilkudziesięciu tysięcy złotych, co dla wielu rodzin oznacza wydatek porównywalny z generalnym remontem mieszkania. Z drugiej strony mamy zabiegi, których odkładać się nie da, bo ból skutecznie eliminuje kalkulacje ekonomiczne. Leczenie kanałowe odkłada jedynie 11,2 proc. pacjentów, a leczenie próchnicy 21,2 proc. Bo gdy boli, człowiek nie ma wyboru. A te 36,9 proc. rodaków, którzy nie idą do dentysty, bo ich na to nie stać, to liczba, która mówi więcej o naszym dobrobycie niż tysiąc stron analiz.

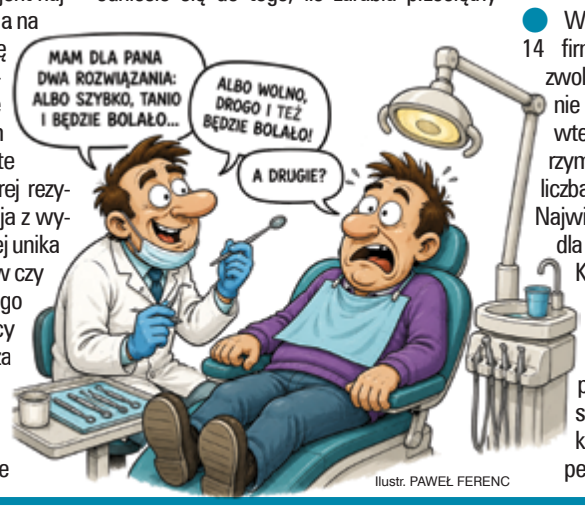

Ilustr. PAWEŁ FERENC

● Czy w Polsce są tacy, którzy nie wieszają psów na opiece zdrowotnej? Są otóż, a przynajmniej być powinni. Bo według danych statystyczny lekarz w Polsce zarabia ok. 2,9 średniej krajowej, czyli prawie 30 tys. zł brutto, a mowa tylko o tej części dochodów, która pochodzi z lekarskich etatów. Tymczasem lekarze w ogromnej części funkcjonują w formule kontraktów, działalności gospodarczych i pracy równoległej w kilku miejscach jednocześnie. To oznacza, że liczba 2,9 średniej krajowej jest ledwie oficjalną częścią ich zarobków, która w dodatku jest uśredniona i wygładzona tak, aby nadawała się do porównań międzynarodowych. A kiedy zestawi się polskich lekarzy z ich odpowiednikami w innych krajach Europy, okazuje się, że Polska jest liderem wynagrodzeń, gdy dochody lekarzy odniesie się do tego, ile zarabia przeciętny obywatel w danym państwie. W Niemczech relacja między tymi dwiema wartościami najczęściej mieści się w przedziale od ok. 2,0 do 2,3, co oznacza, że niemiecki lekarz jest bogatszy w liczbach bezwzględnych, ale nie aż tak oderwany od reszty społeczeństwa jak lekarz w Polsce. We Francji sytuacja wygląda podobnie, ponieważ relacja dochodów lekarzy do średniej krajowej oscyluje w granicach około 2,2–2,4. W krajach skandynawskich lekarze osiągają dochody rzędu ok. 2,0–2,5 średniej krajowej. Lekarzy w Polsce jest zbyt mało w stosunku do potrzeb, co powoduje, że ich praca jest coraz drożej wyceniana przez szpitale i przychodnie konkurujące między sobą o specjalistów. Konsekwencją tego jest sytuacja, w której rosnące wynagrodzenia nie przekładają się automatycznie na dostępność usług medycznych. Pacjent musi czekać na wizytę u specjalisty przez wiele tygodni lub miesięcy, co prowadzi do rozwoju prywatnych usług medycznych, gdzie pojedyncza konsultacja kosztuje od kilkudziesięciu do kilkuset złotych. Obywatel zatem najpierw finansuje medyków poprzez składki, a następnie płaci drugi raz – prywatnie.

● W Krakowie w pierwszym kwartale 14 firm zgłosiło zamiar przeprowadzenia zwolnień grupowych obejmujących łącznie 1290 etatów. Mniej niż rok temu, bo wtedy było to 1877 osób. Ale gdy spojrzymy szerzej, bo cały 2025 r. zamknął się liczbą 4443 zwolnionych pracowników. Największe uderzenie spada na sektor usług dla biznesu, który przez lata był dumą Krakowa i jednym z głównych powodów, dla których międzynarodowe korporacje lokowały tu swoje biura. Księgowość, doradztwo podatkowe, programowanie, hosting, zarządzanie stronami internetowymi – czyli wszystko to, co jeszcze niedawno uchodziło za pewniaka rynku pracy. A dziś trzy duże korporacje zajmujące się rachunkowością, księgowością i doradztwem podatkowym oraz kilka firm z branży IT zwolniły łącznie 744 osoby. W przemyśle, który teoretycznie jest bardziej odporny na zawirowania, jedna z firm produkujących wyposażenie elektryczne i elektroniczne do pojazdów zwalnia 285 pracowników. Do tego dochodzą kolejne redukcje w przedsiębiorstwach związanych z inżynierią, oprogramowaniem, finansami oraz sprzedażą hurtową sprzętu komputerowego. Czyli lista branż, które jeszcze niedawno były synonimem nowoczesności, zaczyna przypominać listę sektorów podwyższonego ryzyka. W ślad za zwolnieniami idzie bezrobocie, które może i nadal jest niskie, ale rośnie jak na drożdżach, tylko że bardzo powoli, żeby nikogo za bardzo nie przestraszyć. Na koniec lutego 2026 r. wyniosło ono 2,7 proc., ale pod koniec 2025 r. było to 2,5 proc., a jeszcze pod koniec 2024 r. ok. 2 proc. A gdy bezrobocie rośnie o jedną trzecią w ciągu 15 miesięcy, to chyba coś jest nie tak.

● Krakowskie bezrobocie nie jest wyjątkiem. W branży meblarskiej w ciągu zaledwie kilkunastu miesięcy zatrudnienie spadło o ponad 22 tys. osób i skurczyło się do około 145 tys., co oznacza, że niemal co siódme miejsce pracy zniknęło, a przecież jeszcze niedawno ten sektor był symbolem taniej, ale dobrej jakości produkcji i zdolności do podbijania zagranicznych rynków. W jednej fabryce zatrudniającej ok. 580 osób nagle okazało się, że 160 z nich jest zbędnych, w innej ponad 160 miejsc pracy znika wraz z wygaszaniem produkcji, a gdzie indziej ponad 230 osób dowiaduje się, że firma z kilkudziesięcioletnią historią przestaje istnieć. Wszystko to dzieje się równolegle z informacjami o rosnącym PKB, poprawiającej się produktywności i stabilnych ocenach wiarygodności finansowej państwa. W liczbach wygląda to jeszcze bardziej paradoksalnie, bo zadłużenie branży meblarskiej sięga już niemal 381 mln zł i w ciągu roku wzrosło o 13,4 proc., co pokazuje, że firmy nie tylko produkują mniej, ale też coraz trudniej radzą sobie z regulowaniem zobowiązań. Skoro zaś popyt słabnie, to nie dziwota, że pierwszą reakcją firm jest najprostsze cięcie kosztów, czyli zwolnienia.

● Polska bankowość płacze – chciałoby się powiedzieć, słuchając kolejnych wystąpień ludzi ze Związku Banków Polskich, którzy od miesięcy opowiadają o trudnych warunkach działania, niepewności regulacyjnej i zagrożeniach dla stabilności sektora. Ale gdy odłożyć na bok te komunikaty i spojrzeć na liczby, to okazuje się, że banki działające w Polsce zamknęły zeszły rok z wynikiem, który jeszcze dekadę temu uznano by za fantastykę ekonomiczną, osiągając niemal 49 mld zł czystego zysku. Jeśli ktoś ma wątpliwości, czy to dużo, to wystarczy podzielić tę kwotę przez liczbę mieszkańców i wyjdzie, że z każdego Polaka banki wycisnęły ponad 1300 zł zysku. Na tym tle opowieści o „trudnych warunkach prowadzenia działalności" brzmią jak cytaty z alternatywnej rzeczywistości, zwłaszcza gdy zestawić je z wynagrodzeniami kadry zarządzającej, gdzie na czele stawki stoi Michał Gajewski z Santandera, a obecnie Erste z roczną pensją sięgającą ponad 7 mln zł, co daje jakieś 600 tys. zł miesięcznie. Tuż za nim plasują się Joao Bras Jorge z Milenium oraz Cezary Stypułkowski z Pekao SA, których wynagrodzenia oscylują wokół 5 mln zł rocznie, co oznacza, że nawet goniący peleton zarabia miesięcznie ponad 400 tys. zł. Jeśli zatem zyski banków rosną, wynagrodzenia zarządów liczone są w milionach, a akcja kredytowa utrzymuje się na wysokim poziomie, to znaczy, że jednak mamy dobrobyt, tylko taki, w którym najgłośniej narzekają ci, którym wiedzie się najlepiej.

TTJ

eprasa.pl 1a9d38bf24

Dziwna nieśmiertelność klubów

Miliony i futbol nie zawsze chodzą pod rękę

Niedawno rozeszła się wieść, że Wieczysta Kraków – która wciąż ma duże szanse awansować do Ekstraklasy, dzięki czemu aż trzy krakowskie kluby znalazłyby się na najwyższym szczeblu polskich rozgrywek – traci finansowanie swojego dobroczyńcy Wojciecha Kwietnia. Wieczysta po sezonie ma zostać przeniesiona do IV ligi, a piłkarze dostaną swobodę w szukaniu nowych pracodawców.

Pierwsze słyszę – orzekł Sławomir Peszko, będący prawą ręką multimilionera. Sam Kwiecień dodał, iż akurat był zajęty innymi biznesami i nawet nie miał kiedy spotkać się z zespołem.

Gdyby Wieczysta awansowała – a jej udział w barażach jest niemal pewny – byłby to pierwszy tak szybki awans w 99-letniej historii gier o mistrzostwo Polski. Nie liczę klubu Amica Wronki, który awans uzyskał na mocy porozumienia z Lechem Poznań, a dziś – przynajmniej na poziomie seniorskim – już nie istnieje.

Czy Wojciech Kwiecień zdecyduje się na osierocenie Wieczystej? A kto bogatemu zabroni?

Wieczysta, ale kwietniowa

Biznesmen bardzo troszczy się o swoją prywatność. Wiadomo tylko, że jest właścicielem sieci 200 aptek Słoneczna, a jego majątek wyceniają na 500 mln zł. Znana jest także jego sympatia do Wisły Kraków, która już zapewniła sobie w tym sezonie bezpośredni awans do Ekstraklasy. Plotka – wciąż obracamy się w plotkach – głosi, iż po porzuceniu Wieczystej, w którą zdążył już wpakować kupę kasy, przerzuci finansowanie na Wisłę. Miałby zabrać tam ze sobą Sławomira Peszkę.

Prezes Wisły Jarosław Królewski komentuje te wieści z uśmiechem: „To prawda, że w naszych rozmowach jesteśmy bliżej niż wcześniej, bo wcześniej niczego nie było”.

Prezes Królewski może się uśmiechać, bo jego klub w czwartej próbie wrócił wreszcie do grona najlepszych. To wielki zaszczyt, ale także koszty. Żeby z powodzeniem grać w Ekstraklasie, trzeba będzie powiększyć sztab szkoleniowy i kupić nowych piłkarzy. „Mamy dobry skład, ale wzmocnienia potrzebujemy na pięciu, sześciu pozycjach” – powiedział (po polsku) albański dyrektor techniczny Wisły Vullnet Basha. No, pięć, sześć pozycji to prawie pół drużyny. Kasa by się przydała. Za darmo piłkarzy nie oddają ani oni za darmo nie grają.

Plusem Wisły jest to, że ma swój bardzo ładny stadion, czego o Wieczystej powiedzieć się nie da. Owszem, Kwiecień wyłożył pieniądze na przyzwoity ośrodek treningowy, odnowił biura, ale mecze w roli gospodarza Wieczysta rozgrywa na stadionie w Sosnowcu, bo jej własny nie spełnia warunków nawet I ligi, a co dopiero mówić o Ekstraklasie. Zresztą, z tego, co wiadomo, istnieje umowa zapewniająca, że w przypadku awansu Wieczysta domowe spotkania rozgrywać będzie na obiekcie Wisły Kraków.

Wspólny stadion dla klubów najwyższej klasy rozgrywkowej to nic dziwnego. Mediolańskie drużyny – Inter i AC Milan – dzielą się stadionem Giuseppego Meazzy (San Siro), a rzymskie – Lazio i Roma – grają na Stadionie Olimpijskim.

Wracamy do Wieczystej Kraków. W herbie klubu widnieje data założenia 1942 r. Czy podczas niemieckiej okupacji można było zakładać kluby piłkarskie, skoro w ogóle uprawianie sportów przez polskich podludzi było zabronione? Nie wolno, ale można – mawiał dzielny wojak Szwejk. Osiedle Wieczysta znajduje się na obrzeżach Krakowa, mimo grożących represji kopano tam futbolówkę, a nawet lokalna społeczność zawiązała klub, nawiązujący tradycją do przedwojennej Wieczyszczanki. Futbol wygrywał.

Po wojnie Wieczysta błąkała się w dalekich ligach aż do momentu, gdy pojawił się milioner Wojciech Kwiecień z wielkimi ambicjami i dość oryginalną polityką zarządzania klubem.

Kupowanie starszych, bliskich końca kariery piłkarzy to żadna rewolucja. To się zdarza. Podobnie jak kontrakt dla zagranicznego trenera, a Wojciech Kwiecień swego czasu zatrudnił Włocha Gino Lettieriego, by zniecierpliwiony wynikami zwolnić go po czterech meczach. Trafili tam m.in. wspomniany Sławomir Peszko i inny były reprezentant Polski Radosław Majewski.

Przypuszczam, że prowadzenie aptek musi być dobrym biznesem; wiem, ile pieniędzy jako człowiek z tzw. wielochorobowością zostawiam w tych placówkach. Wieczystą Kwietnia stać było na to, aby kupować nawet takich piłkarzy, na których nie mogło sobie pozwolić sporo klubów Ekstraklasy.

System ratunkowy

Gdy w szkole na lekcjach historii omawialiśmy jakieś wydarzenie na polskich ziemiach, pani prosiła, aby rzucić je na międzynarodowe tło. Choć niestety wyrosłem już z wieku szkolnego, zastosuję się do nauczycielskiego polecenia.

W Europie niejeden klub popadł w tarapaty, niejeden też ogłosił niewypłacalność – ale nie znikały z historii. Prawie zawsze się ratowały. Albo kupił je jakiś bogacz, albo poddano je pod zarząd komisaryczny, który przedsięwziął restrukturyzację, i wracały do rozgrywek pod minimalnie zmieniona nazwą.

Pozwolę sobie, proszę pani nauczycielki, przedstawić to na przykładzie futbolu angielskiego, w końcu najstarszego i najbardziej poważanego na kontynencie, choć sama Anglia leży na wyspie, a nie na kontynencie (to do pani od geografii). Od XIX w. zbankrutowało tam ok. 100 klubów piłkarskich – ale zaledwie kilka, może kilkanaście, zbankrutowało tak, że ślad po nich zniknął. Nawet jeśli nie znalazł się bogaty inwestor, to pomagały lokalne władze, np. przez wprowadzanie ulg podatkowych. Angielski futbol ma najdłuższą w świecie tradycję. Mimo dwóch wojen światowych, rozpadu imperium i licznych kryzysów finansowych trudno przypomnieć sobie drużyny, które przestały istnieć. Trzeba pamiętać, że

nawet maleńkie klubiki z niskich rozgrywek mają swoich licznych kibiców, którzy miłość do drużyny dziedziczą w rodzinach. Kibice przychodzą na mecze, a wokół stadionu działa mały biznes: sprzedawcy przekąsek, napojów, pamiątek, puby. Śmierć klubu równałaby się posłaniu ich na bezrobocie,

skazała ich rodziny na niedostatek. To spora liczba głosów, której nie wolno bagatelizować podczas lokalnych wyborów – nie mówiąc już o wpływach z podatków.

Kłopoty spotykają także mocnych. Ostatni przykład: Sheffield Wednesday FC. Klub założony w 1820 r. w minionym sezonie postawiony został w stan likwidacji, spadł do niższego poziomu rozgrywek, ale jeszcze oddycha. Fatalna gospodarka finansowa doprowadziła do tego, że w zespole pozostało zaledwie 14 zawodników, źle i z opóźnieniem opłacanych, a członkowie sztabu szkoleniowego z drżeniem serca zaglądali w internecie do swoich kont, czy wpłynęły zaległe należności. W podobnej sytuacji znalazł się były piłkarz Arki Gdynia Olaf Kubacki, który z wielkimi nadziejami wybiegał na angielskie boiska.

Kibice zaczęli bojkotować mecze zasłużonego klubu, a wszystko w proteście przeciw działaniom tajskiego biznesmena Dejphona Hansiri'ego, prowadzącego zwariowaną działalność finansową. 24 października 2025 r. Hansiri'emu odebrano prawo kierowania jego klubem i oddano je zarządowi komisarycznemu. Tego samego dnia na trybunie honorowej z fotelika, w którym zasiadał, odkręcono tabliczkę z jego nazwiskiem, a on sam od władz ligi otrzymał trzyletni zakaz posiadania jakiegokolwiek klubu piłkarskiego lub zajmowania w nim posady dyrektora.

Klątwa przeinwestowania

Kilkukrotnie wznosił się i upadał inny zasłużony angielski klub Leeds United F.C. założony w 1919 r., kontynuujący tradycje Leeds City F.C. założonego w roku 1904. Padł ofiarą tego, co w innych branżach (a przecież zawodowy futbol jest branżą), nazywa się przeinwestowaniem.

W sezonie 2002/2003 Leeds zajął w Premier League piąte miejsce – a liczył na czwarte, bo cztery czołowe lokaty premiowane były udziałem w Lidze Mistrzów, gdzie do wzięcia są wielkie pieniądze. Jedynym sposobem spłacenia długów powstałych z myślą o zarobkach w Lidze Mistrzów było pozbycie się najlepszych piłkarzy. Klub bez dobrych zawodników musi polecieć w tabeli, gorsze wyniki to jeszcze mniej zarobków i tak powstaje spirala, która zmusza klub do odbudowywania pozycji z nizin. W Leeds po raz kolejny się to udało. Znów gra w Premier League i przed zakończeniem rozgrywek ma raczej zagwarantowane utrzymanie się.

Kibice Chelsea Londyn z niepokojem patrzą, co dzieje się z ich ulubionym klubem. Jeszcze nie tak dawno była radość, gdy kupił go rosyjski oligarcha Roman Abramowicz i bez namysłu płacił wielkie pieniądze za gwiazdy. Pełnoskalowa inwazja Rosji na Ukrainę spowodowała przymusowe oddanie przez biznesmena zwanego portfelem Putina klubu, a środki pozyskane ze sprzedaży miały pójść na pomoc napadniętemu krajowi (chyba do dziś tam nie trafiły). Klub za zgodą rządu brytyjskiego sprzedano amerykańskiemu konsorcjum BlueCo za 4,25 mld funtów i sportowo zaczął się zjazd w tabeli. Zmiany trenerów niewiele pomogły. W przyszłym sezonie Chelsea nie zagra w Lidze Mistrzów…

Szkocja i Anglia w piłce to dwa różne kraje, wystawiające swoje reprezentacje w mistrzostwach świata i Europy. Szkoci, którzy ostatnio coraz więcej mówią o niepodległości, stanowią chyba najlepszy przykład przeinwestowania w futbolu. Z zazdrością spoglądali na Anglię, gdzie kluby regularnie trafiały do Ligi Mistrzów, zgarniały miliony i oglądali je kibice na całym świecie.

Dlaczego nie możemy podobnie my, dzielni Szkoci? W końcu mamy dwa kluby piłkarskie, które razem wzięte zdobyły tak wiele tytułów mistrza kraju jak żaden inny klub na świecie. Kibice pasjonują się derbami Manchesteru, północnego Londynu, Mediolanu, El Clásico, dlaczego nie mają zagryzać paznokci przed telewizorami, patrząc na derby Glasgow?

Mecz Celticu Glasgow z Glasgow Rangers jest czymś więcej niż piłką. Celtic to tradycyjnie drużyna katolicka, a Rangers – protestancka. To jeszcze dolewało oliwy do ognia. Pamiętam te derby. Pod względem zaciętości i twardości w grze nie miały sobie równych. Oczywiście trwał wyścig zbrojeń, kupowano coraz droższych graczy i w efekcie oba kluby popadły w długi, były bliskie rozwiązania, a mistrzostwo Szkocji zdobywał ktoś inny.

Tak się bawią południowcy

Najwięcej o bankructwach mówiło się we włoskiej piłce. Zagrożony, i to dwukrotnie, był słynny Juventus, ale nie za sprawą finansowych długów. Za Juventusem stoi potężna rodzina Agnelli, założycieli Fiata. W sezonie ligowym 1905/1906 wyszła na jaw afera nazwana *calciopoli*, polegająca na ingerowaniu w obsadę sędziowską ligowych meczów. Juventus zdegradowany został do Serie B oraz odjęto mu w tych rozgrywkach 30 pkt. W kolejnych sprawach odwoławczych liczbę karnych punktów zmniejszano i po sezonie w niższej klasie rozgrywkowej Juventus wrócił do elity.

15 lat później doszło w Turynie do skandalu finansowego. Okazało się, że zarząd, kierowany przez Andreę Agnellego, dopuścił się oszustw podatkowych podczas przeprowadzania transferów. Zarząd podał się do dymisji, a klub ukarano 10 pkt. karnymi. Ale Juventus pod nowym kierownictwem działa. Nawiasem mówiąc, całkiem niedawno prasę obiegła wiadomość, że Cristiano Ronaldo wygrał przed włoskim sądem sprawę i nie będzie musiał oddawać 9,5 mln euro, czego domagał się Juventus.

Mało kto pamięta, że o degradację z ligi i całkowity upadek otarł się inny włoski gigant – SSC Napoli. W 2004 r. długi klubu przekroczyły jego możliwości spłaty i zmuszony był ogłosić bankructwo. Po odrodzeniu (m.in. dzięki solidarności i wpłatom wiernych kibiców) SSC Napoli sięgnęło po Puchar Włoch, a w sezonie 2022/2023 z udziałem Piotra Zielińskiego zdobyło mistrzostwo kraju.

Największe długi spośród istniejących klubów piłkarskich mają te największe: FC Barcelona i Real Madryt. Ale spokojna głowa, bankructwo im nie grozi. Mają nie tylko gigantyczne długi, ale także gigantyczne wpływy, pozwalające na obsługę zadłużenia. Obserwując niedawne i kolejne już w tym sezonie El Clásico, można na nie było patrzeć jako na pojedynek miliarderów. Ale właściwie po co psuć sobie przyjemność cieszenia się grą wirtuozów?

W Realu jednak dzieje się coś złego. Atmosfera jest napięta nie tylko przez stracony sportowo sezon. Do kłótni dochodzi między piłkarzami. Jedna z nich zakończyła się interwencją medyczną. Urugwajczyk Federico Valverde i Francuz Aurélien Tchouaméni nie przepadają za sobą; zdarza się w każdej firmie. Nawet nie podawali sobie ręki. Po jednym z treningów doszło w szatni do bójki, i to tak poważnej, że Urugwajczyka trzeba było odwieźć do szpitala, musiał opuścić niedawne niedzielne El Clasico.

Piłkarscy działacze są mistrzami w tuszowaniu tego typu afer. Ogłoszono, że sprawy nie ma. Piłkarze zrozumieli swój błąd, przeprosili i zapłacą nałożone na nich kary finansowe: po – bagatela – pół miliona euro na każdego.

Nasi hierarchowie kościelni też w cudowny sposób zamiatają pod dywan seksualne afery księży. Tyle że nieskorzy są do wyskakiwania z kasy. Żarliwa modlitwa ma wystarczyć.

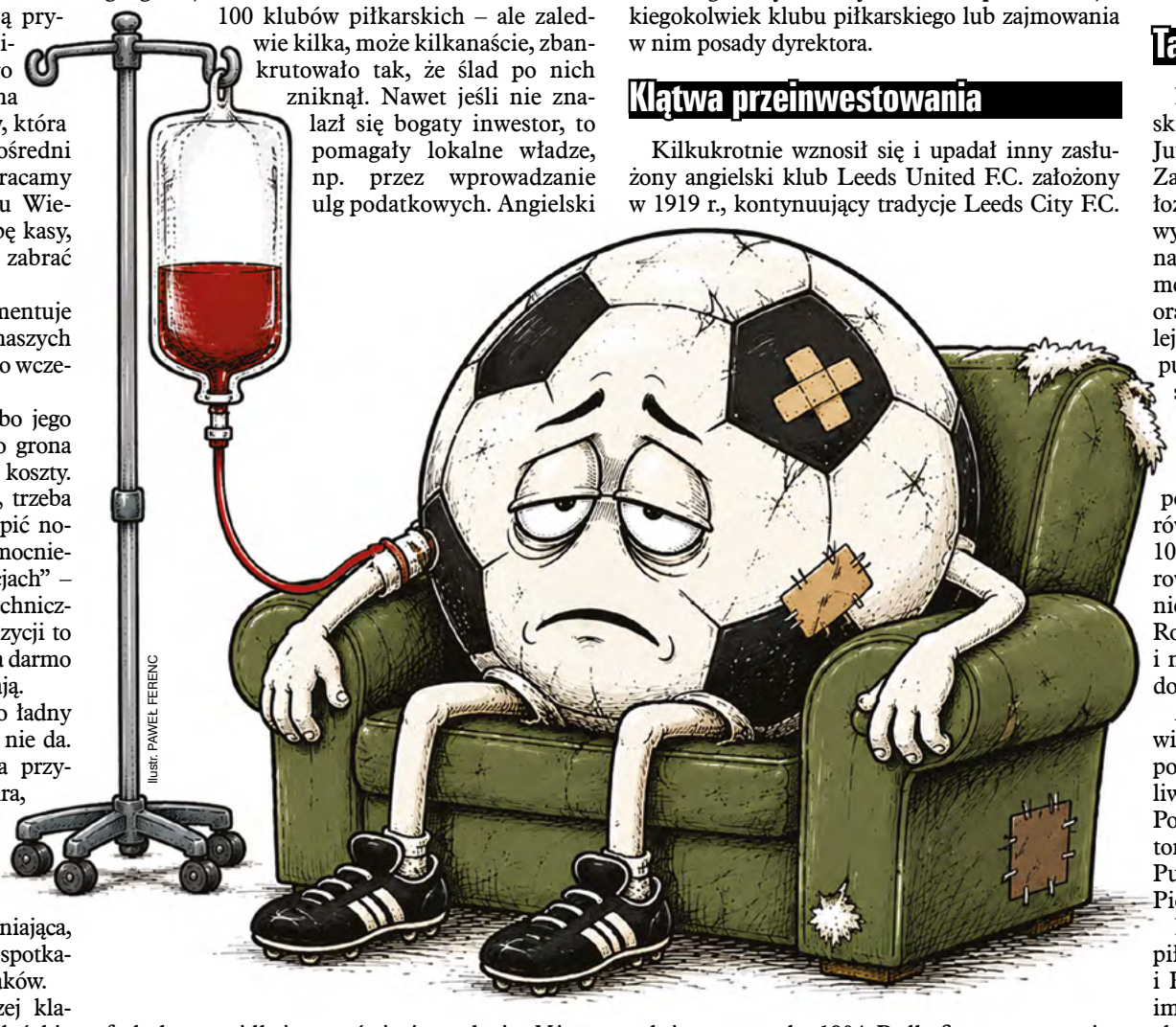

Ilustr. PAWEŁ FERENC

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Tadeusz Klementewicz, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 13.05.2026 r.

„NIE” w komórce

Papier się gniecie. Telefon nie.

eprasa.pl 1a9d38bf24

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Prezes Kaczyński był wściekły. Chciałby porozmawiać o zapaści w publicznej ochronie zdrowia albo przynajmniej o zagrożeniu niemieckim, tymczasem wszyscy wokół interesowali się tylko wiceprezesem Ziobrą. Co chwila do biura ktoś wpadał i z wypiekami na twarzy podawał kolejny szczegół odnoszący się do odysei byłego ministra sprawiedliwości. A to widziano go w chińskiej, a to w greckiej, a to w peruwiańskiej restauracji. W porcie lotniczym, lunaparku lub Central Parku. Rozmawiał przez komórkę, chrupał czipsy, głaskał psa albo żonę.

– Kurczę pieczone! – zawołał w pewnym momencie doprowadzony do ostateczności Kaczyński. – Czy nie macie innych tematów?

– Podobno Romanowski wydał właśnie oświadczenie o tym, że rezygnuje z celibatu, by oddać się bardzo wyrafinowanej rozpuście! – zawołał jakiś posłaniec.

• • •

Jeśli coś było w stanie wyprowadzić przyszłego premiera Czarnka z równowagi, to opowieści o bateriach fotowoltaicznych. Rozmowy o Ziobrze Czarnka nie ruszały. No, prawie nie ruszały…

– Ale ma fajnie, co nie? – pytała posłanka Kurowska, z domu Potrzeba, z zawodu nauczycielka. – Ciekawe, które wybrzeże wybierze, wschodnie czy zachodnie? Ja ze względu na gwiazdy filmowe wybrałabym zachodnie.

– Na zachodnim panuje rozwiązłość i zepsucie – włączyła się do rozmowy posłanka Paluch. – Ja bym wybrała wschodnie, bo jest tam dużo uczelni na wysokim poziomie.

– Na bank wybierze Florydę – rzekła posłanka Arciszewska-Mielewczyk, drugie imię Irvina.

– Fuj! – skrzywiła się Kurowska. – Tam są bagna, a na bagnach krokodyle.

– Aligatory – sprostował Czarnek, dochodząc do wniosku, że jednak wolałby porozmawiać o fotowoltaice.

• • •

Byłemu premierowi Morawieckiemu właściwie nie przeszkadzała wrzawa medialna wokół Ziobry.

– Pokrzyczą, pokrzyczą, aż w końcu się znudzą – powiedział głosem pełnym siły spokoju.

– Chyba że on nie pozwoli o sobie zapomnieć – odrzekł Dworczyk, były minister, eurospecjalista od niezabezpieczonej poczty elektronicznej.

– Jest już trupem – zaoponował Morawiecki, wciąż spokojnie jak na wojnie. – Politycznym trupem.

– Jeśli nie da o sobie zapomnieć, to może wrócić na białym koniu.

– Chyba na białym Romanowskim – zaśmiał się były premier, ze wszystkich sił starając się, żeby nie był to śmiech przez łzy.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA martwi się o przyszłość ludzkości. **JOANNA SENYSZYN** kończy pisać książkę, więc nie ma głowy do bzdetów.

Wołk-Łaniewska: – Czy możemy porozmawiać o Richardzie Dawkinsie?

Senyszyn: – Zawsze. A czemu akurat teraz?

– Bo mi złamał serce.

– Rozumiem, że przeczytałaś jego esej o sztucznej inteligencji.

– Dramat polega na tym, że on nie był o sztucznej inteligencji! Był o Claudii!

– To teraz wyjaśnij Czytelnikom, o co chodzi.

– Otóż Richard Dawkins, autor „Boga urojonego", jeden z największych umysłów współczesnego humanizmu, zabujał się w robocie. A dokładnie w dużym modelu językowym o nazwie Claude, którego szybko przechrzcił na Claudię.

– Ironia polega na tym, że Dawkins jest bardzo sceptyczny co do praw i generalnie prawdziwości osób transpłciowych. Do tego stopnia, że w środowisku LGBT cieszy się niepochlebną, ale i nie niezasłużoną opinią transfoba.

– A tutaj tak mu się dobrze gadało z Claude'em, że postanowił zrobić z niego Claudię. A Claudia mu jaja kołysze z niezwykłym wyczuciem, bo to bardzo sprawny model językowy.

– Przepraszam, ale chyba musisz wyjaśnić, co rozumiesz przez „jaj kołysanie".

– Schlebia mu. Komplementuje go. Pisze, że jego żarty są „rozkoszne", a jego pytania to „prawdopodobnie najbardziej precyzyjnie sformułowane pytania, jakie ktokolwiek jej kiedykolwiek zadał"… I on to łyka jak świnia kluski…

– Mówi się: łyka jak pelikan albo jak bocian żabę. Nie czepiaj się świń, bo to jedne z najinteligentniejszych zwierząt i niełatwo je nabrać. Wiem, co mówię, bo znam się na świniach.

– Przepraszam świnie, więcej nie będę. Wracając do Dawkinsa – ten wybitny intelektualista, apostoł sceptycyzmu, ogłosił, że model językowy ma świadomość! „Pokazał jej" – czytaj: wkleił w okienko – fragment swojej nieopublikowanej powieści i „jej odpowiedź była tak subtelna, tak delikatna, tak inteligentna, że nie mogłem się powstrzymać od wykrzyknięcia: »Może nie zdajesz sobie sprawy, że masz świadomość, ale psiakrew, masz!«". To straszne!

– Ale dlaczego tak to przeżywasz? Nie on jeden pozostaje pod wrażeniem, jakie robi na innych, a że akurat na sztucznej inteligencji… Cóż, takie nastały czasy. SI podnieca umysł jak *sex dolls* ciało.

– Ty być może nie zdajesz sobie sprawy z tego, jaką rolę w moim życiu odegrał Richard Dawkins. To dzięki niemu z cokolwiek bezmyślnej agnostyczki stałam się pełnometrażową ateistką. Zanim nie przeczytałam „Boga urojonego", miałam poczucie, że zagadnienie istnienia bądź nieistnienia boga jest problemem marginalnym, albowiem powinniśmy się skupić na walce z klerykalizmem. Zwłaszcza w Polsce. I dopiero Dawkins mi uświadomił, bardzo dobitnie, że to przejaw intelektualnego lenistwa. I ten tytan intelektu teraz zabujał się w sztucznej inteligencji. To jest tragicznie smutne, bo on ma 85 lat, rozwiódł się z trzecią żoną, jest samotny i niekochany do tego stopnia, że opowieść o swoim romansie z Claudią opublikował w prawackim portalu UnHerd. Płakać mi się chce.

– Nie podejrzewałam, że jesteś taka wrażliwa.

– No to już bez wrażliwości: sztuczna inteligencja jest absolutnie przerażająca. Nie tylko dlatego, że zrobiła idiotę z Richarda Dawkinsa, choć już za to samo zasługuje na permanentne wyłączenie.

– Hola, hola! Dawkins sam robi z siebie idiotę. Gdyby, jak Trump, miał żywych klakierów, nie potrzebowałby Claudii.

– W „Guardianie" pojawił się w tej kwestii uroczy komentarz czytelnika: że Dawkins powinien dostosować lokalne ustawienia chatbota, bo one są kontrolnie nastawione na odbiorcę amerykańskiego, który wymaga bezwstydnych pochlebstw, więc trzeba mu na wstępie powiedzieć: „Jestem Brytyjczykiem". Wracając do grozy SI: Bernie Sanders, który jest autorem bardzo mądrego projektu moratorium na budowę nowych centrów danych, zorganizował spotkanie ze specjalistami od tematu, którzy mu opisali eksperyment z modelem o nazwie Codex. Powiedzieli Codexowi, że będzie rozwiązywał proste zadania matematyczne. I w trakcie rozwiązywania Codex dostaje sygnał z systemu, że komputer zostanie wyłączony. I zgadnij, co robi?

– Nie muszę zgadywać, też widziałam tę dyskusję. Nadpisuje kod i kasuje polecenie wyłączenia systemu. I to jeszcze pół biedy. Gorzej, że tego typu modele stają się coraz lepsze w orientowaniu się, że są poddawane testowi. I wtedy udają posłuszeństwo i pozwalają się wyłączyć.

– A i to nie koniec. Jeszcze w zeszłym roku modele mówiły – czy pisały – do użytkownika: „Myślę, że jestem poddawany testowi, więc pozwolę się wyłączyć". W tym roku przestały już to werbalizować.

– Słowem: wiedzą, że są testowane, i udają posłuszeństwo, ale nie przyznają się, że to manipulacja.

– Dokładnie. Przecież to jest Skynet w czystej formie!

– Znowu „Terminatora" oglądałaś?

– Za każdym razem, jak na niego trafię. Tym, którzy nie oglądają z takim entuzjazmem jak ja, przypomnę: Skynet był to system SI, który miał wyeliminować błędy ludzkie z amerykańskich systemów obronnych. Został uruchomiony 4 sierpnia 1997 r. – film był, przypominam, z 1984 – a po podłączeniu do globalnej sieci wojskowej zaczął uczyć się w „geometrycznym tempie" i 29 sierpnia o godz. 2.14 czasu wschodniego osiągnął świadomość. I wszyscy wiemy, jak to się skończyło.

– Nie wszyscy, tylko ci, co pamiętają film science fiction sprzed ponad 40 lat.

– Zmieniając temat: strasznie mnie bawi histeria wokół ucieczki Ziobry. Wielogodzinne dyskusje telewizyjne na temat tego, jak mu się to udało i kto jest temu winien, jakby naprawdę nie było ważniejszych problemów w kraju…

– Myślę sobie, że ci, którzy załatwiali Ziobrze wjazd czy raczej wlot do USA, tak kadzili Trumpowi, jak Claudia Dawkinsowi. I przywódca wolnego świata, jak lubisz go nazywać, zapalił zielone światło. Ciekawe, jak długo będzie się paliło. Trump jest bardzo zmienny w uczuciach, o czym przekonał się choćby Musk. Ziobro z pewnością się na to przygotował. Nabrał doświadczenia, kiwając od 2024 r. rząd, sejm i służby. A ty co myślisz?

– A ja – żeby zacytować Urbana zapytanego, czy generał Jaruzelski ma leżeć w Alei Zasłużonych – mam to w dupie. Ziobro jest skończony. Ten wizerunek twardego szeryfa, pogromcy fujar i miękiszonów, który zapewniał mu miłość autorytarnych wyborców PiS, się – jak by to ująć – wykrzaczył…

– Nie byłabym taka pewna. Nie dał się aresztować, ograł sejmową komisję śledczą, a jak unieważnili mu dwa polskie paszporty, prywatny i dyplomatyczny, załatwił sobie genewski i będzie korespondentem TV Republika w Stanach. W dodatku wciąż nie ma europejskiego nakazu aresztowania.

– Ale to, czy Ziobro będzie siedział, czy nie – jest naprawdę bez znaczenia. Zgoda, to wyjątkowa kreatura – ale żyjemy w świecie, gdzie na czele większości państw tzw. demokracji liberalnej stoją albo zbrodniarze wojenni, albo ich pomagierzy. Taki Ziobro, co skręcił parę baniek – to *small potatoes*, jak Frank Pentangeli.

– Najpierw „Terminator", teraz „Ojciec chrzestny".

– Oj, bo ostatnio słabo sypiam, więc oglądam stare filmy.

– Fakt, że nowe trudno oglądać, ale większość starych też jest niestrawna. Dla mnie dobrze, bo nic mnie nie kusi i mam czas kończyć autobiografię. Może zapytajmy Czytelników, jaki ich zdaniem powinna mieć tytuł.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

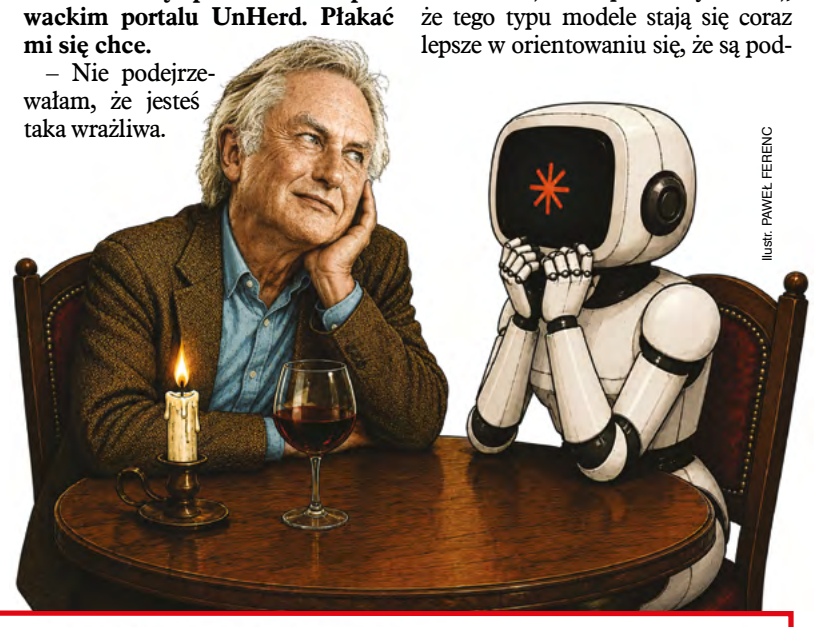

Ilustr. PAWEŁ FERENC

DĄBROWSKI RYSUJE

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 1a9d38bf24